Nr. 10. Lwów, Niedziela dnia 5. Marca 1876 r. **Rok III.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

IX.

Wydawnictwo dziełek ludowych.

III. W ostatnim numerze mówiliśmy o tych przedmiotach ludowego piśmiennictwa, których zadaniem przeważnie podnoszenie moralnej strony ludu. Łącznikiem pomiędzy nimi a przedmiotami praktycznej doniosłości nazwaliśmy dziełka treści ekonomicznej. Przechodząc obecnie do tego ściśle praktycznego kierunku, winniśmy przedewszystkiem na to nacisk położyć, iż oba kierunki moralny i praktyczny powinne sobie w piśmiennictwie ludowem zupełną trzymać równowagę, iż żaden z nich nie ma prawa domagać się dla siebie przewagi. Unikajmy tu starannie wszelkiej jednostronności. Tak jak nędza koniecznie tworzy niemoralność, a wzajemnie też z zachwiania moralnych podstaw, z niemoralności wynika w koniecznem następstwie ekonomiczna ruina, tak też piśmiennictwo ludowe, zaniedbujące którykolwiek z tych dwóch kierunków na koszt drugiego chybia zupełnie swego celu. Nie będzie zamożnym lud nasz, póki się nie nauczy być prawdziwie pracowitym — nie może być i nie będzie prawdziwie pracowitym, póki nie na siebie pracuje ale na lichwiarzy na jura stolae i na podatki. Nie jest to wcale błędne koło — jest tylko raczej stwierdzenie tego cośmy mówili w pierwszym artykule o ścisłym organicznym związku wszelkich spraw i kwestyj społecznych.

Z tego praktycznego kierunku podnieść nam przedewszystkiem wypada dział przyrodniczy i rolniczy. Są one dla włościanina niewątpliwie najważniejsze, jako najbardziej zatrudnieniu jego odpowiadające. Wypada tu jednak stanowczo unikać wszelkiego teoryzowania. To tylko, co ma dla życia wieśniaka praktyczną doniosłość może i powinno w dziale tym znaleźć uwzględnienie. Wszelkie inne przedmioty z nauk przyrodniczych w ludowych dziełach podawane, wywołają najgorszy stan umysłowy niedouctwa. I łatwo się to da wytłumaczyć! Pomijając już że wyczerpujące i gruntowne opracowanie któregokolwiek działu nauk przyrodniczych jest w książce ludowej nadzwyczaj trudnem — że zatem po większej części byłyby to rzeczy bardzo powierzchowne — zachodzi tutaj ta ważna okoliczność że nie mając dla włościanina ani uroku opowieści, baśni, ani też doniosłości praktycznej, nie zajmą go one tak, ażeby mu trwale w pamięci utkwiły. Tymczasem to wszystko co się do życia jego i zawodu odnosi, zajmie go tak żywo, że i pamięć jego chociaż tak do wszelkiej nauki niewprawna łatwiej zatrzyma treść przeczytanej książki, tem bardziej że w życiu praktycznem, w zawodzie swoim ma nieustanną sposobność zastosowania tego, czego się z książki nauczył, że zatem ta nauka będzie mu się zawsze w pamięci odświeżać.

Kiedy niedawno w Towarzystwie przyrodników polskich była mowa o naukach przyrodniczych w szkole ludowej, hr. Włodzimierz Dzieduszycki który wybornie zna lud nasz i jego potrzeby i temi kwestjami bardzo się żywo zajmuje, powiedział: „Wychowujmy włościan tak, aby byli dobrymi włościanami,“ żądając by w szkole ludowej nauki przyrodnicze zawsze z praktycznego stanowiska traktować, i uczyć tego, co dziatwie szkolnej jako przyszłym rolnikom jest potrzebnem. Toż samo zastosować można i do książki ludowej w przedmiocie przyrodniczym, która tem lepszą będzie im bardziej się tej praktycznej strony będzie trzymać. Na nic się ludowi dziś nie przyda znajomość n. p. obrotu ciał niebieskich, albo też prawideł chemicznego powinowactwa — ale wytłumacz mu dobrze naturę nawozów i stosunkową wartość różnych ich rodzajów, daj mu w książce o weterynarji ogólny zarys anatomji zwierzęcia, a niewątpliwie i korzyść z tego będzie większa, i łatwiej ta nauka utkwi mu w pamięci. Pamiętajmy, że tak jak w szkole idzie się stopniowo od łatwych i prostych do trudniejszych i bardziej skomplikowanych przedmiotów, tak też i w piśmiennictwie ludowem trzeba się koniecznie stosować do dzisiejszego poziomu inteligencji włościan. Później, kiedy już całe pokolenie przejdzie przez dobre szkoły ludowe, będzie można i trzeba skalę piśmiennictwa ludowego podnieść wyżej.

Z tym przyrodniczym działem wiąże się bezpośrednio nauka hygjeny. Stosunki sanitarne włościan, ich obojętność na zdrowie a zupełna w chorobie nieporadność zbyt są znane, byśmy się nad tem rozpisywać potrzebowali. Rozszerzenie między ludem dobrej książki o nauce zdrowia byłoby wielce pożądanem.

Ale nie na samych książkach treści przyrodniczej, rolniczej lub hygjenicznej kończy się ten dział praktyczny, o którym mówimy. Należą tu także przedmioty wielce pożyteczne a zaniedbane, odnoszące się do tych spraw administracyjnych i prawnych, z któremi włościanin nasz nieustanną ma styczność. Zupełna ich nieznajomość naraża włościanina na nieobliczone straty, i czyni go ofiarą wszechstronnego wyzyskiwania. Życie gminne niewątpliwie inną przybrałoby u nas postać, gdyby włościanie zapomocą popularnych dziełek byli z najważniejszemi ustawami administracyjnemi obeznani. Uniknęłoby się tysiącznych strat, na jakie i gmina cała się naraża i nieraz wójt osobiście. Rozmaitego rodzaju szkodliwe żywioły nie miałyby tak szerokiego pola do wyrobienia sobie wpływu, gdyby nie ta zupełna nieznajomość ustaw u naszego chłopa, którą tak znakomicie się wyzyskuje. Lichwa nie wywierałaby tak niszczących skutków, ani też rozszerzałaby się w sposób tak przerażliwy, gdyby włościanin nasz choć w przybliżeniu miał wyobrażenie o przepisach wekslowych, o prawnych skutkach podpisu, który daje tak lekkomyślnie. Zasada, że „nieznajomością ustawy nikt się zasłaniać nie może“ stosowana zarówno i do administracyjnych i do sądowych ustaw, jest straszną plagą naszych włościan, a inaczej nie można tu złemu zaradzić, jak tylko szerzeniem znajomości ustaw pomiędzy ludem, zapomocą popularnych dziełek. Zwracamy na to baczną uwagę komitetu wydawnictwa dzieł ludowych, który może w ten sposób bardzo znakomite oddać krajowi usługi.

W tem, cośmy dotychczas mówili o przedmiotach ludowego piśmiennictwa, zamieściliśmy także niektóre uwagi co do sposobu pisania dla ludu. Tutaj więc tylko dodać musimy, że należy

koniecznie unikać trzech błędów, w jakie bardzo często styl naszych ludowych dzieł popada: prostactwa zamiast prostoty i jasności — traktowania czytelnika z góry, jakby dziecko — a nakoniec prowincjonalizmów. Zapominano zbyt często o tem, że popularność wykładu zależy tylko od jego jasności. Ztąd też chcąc być popularnymi, pisarze nasi ludowi — nie mówimy o wszystkich — wytworzyli sobie zupełnie odrębny styl, prawie by rzec można język osobny. Zasłyszawszy w tej lub owej okolicy pewien sposób mówienia lub wyrażenie jakieś zupełnie lokalne, zapominali, że w innej okolicy może ono być zupełnie niezrozumiałem. A przecież pisze się dla ludu całego kraju, a nie pewnej tylko okolicy. Używali nieraz wyrażeń i sposobów mówienia, które nie prostotą ale prostactwem trąciły — a włościanin w książce powinien czerpać zasób uszlachetnienia nietylko obyczajów i sposobu myślenia, ale i mowy swojej, a rzecz wypowiedziana z godnością, byle była jasną, trafi prędzej do jego przekonania, łatwiej mu zaimponuje, aniżeli wypowiedziana zupełnie tak, jak lud sam między sobą mówi. Dalej, wszystkie takie alokucje, jak: moi mili ludzie — moiściewy — kochani ludziska itp. powinneby z języka książek ludowych stanowczo być wykluczone, bo zamiast obudzenia zaufania raczej przeciwny skutek odnoszą. Jeżeli tylko pisarz panuje zupełnie nad przedmiotem, jeżeli wie co lud zrozumie, a czego jeszcze zrozumieć nie może, jeżeli unika wyrazów obcych, a gdy zajdzie konieczna potrzeba użycia ich, zaraz je przez określenie wytłumaczy, jeżeli unikać będzie szerokich i sztucznie zbudowanych okresów, w których umysł nieprzyzwyczajonego do nich czytelnika koniecznie zgubić się musi — tem samem już stanie się popularnym. W braku tego nic mu nie pomogą ani prowincjonalizmy, ani alokucje owe, ani pospolite ludowe zwroty mowy.

Co do formy książek ludowych, sądzimy, że przyjęty u nas zwyczaj drukowania małych broszurek dwu i trzyarkuszowych, nie jest dobrym. Takiego zadrukowanego drobiazgu lud szanować nie będzie. Dajmy mu większą książkę, oprawną, ile możności ilustrowaną, a będzie ją szanował, będzie mu ona przedstawiać pewną wartość, ztąd też i treść jej wyżej będzie cenić. Możliwy zarzut, że książka taka będzie zbyt drogą, odpada wobec faktu, iż np. „Opowiadania Walentego,“ albo „Ludzie z pod słomianej strzechy“, rozeszły się w bardzo znacznej liczbie egzemplarzy, pomimo, że były to książki większe i droższe. Oczywiście, że trzeba się starać o jaknajwiększą możliwą taniość — ale nie trzeba w tym kierunku iść tak daleko, żeby aż skutkiem tego dawać ludowi drobne książeczki, które ani przedmiotu wyczerpać nie mogą, ani też będą u ludu w poszanowaniu.

W następnym artykule pomówimy o sposobach rozszerzania dzieł ludowych.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach
przez
J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(Ciąg dalszy).

CZĘŚĆ DRUGA.
Partyzanci.

XI.

Bywają przeczucia nieomylne, i do takich podobno należało owo przeczucie, które kazało panu Arturowi unikać spotkania z panem Bartłomiejem Zahajpolskim.

Ale przeczucie to bardzo niewłaściwie popchnęło go na drogę do Zaskala, chyba dlatego tylko, żeby się łatwiej spełnić mogło, chociaż może zresztą nie miało ono tego egoistycznego zamiaru, tylko mu dopomógł przypadek.

W Gradowcach wszystko odbyło się w ułożonym porządku. Na godzinę oznaczoną zgromadził się oddział powstańczy i uszykował na rynku.

Dowódca Klin zrobił jego przegląd i nadał mu ostateczną wojskową organizację, rozdzieliwszy broń odpowiednio i ustanowiwszy dowódców.

Przy odgłosie bębna odczytano manifesty Rządu Narodowego w języku polskim i ruskim i tak zwaną „Złotą hramotę.“

Następnie odbyło się nabożeństwo, które odprawiał jeden z ojców Kapucynów, przyszły kapelan oddziału.

W mieście i dokoła miasta odbywały się patrole i rekonesanse, zasięgano języka, ściągano informacje.

Według wszelkich doniesień najmniej na dwie mile w promieniu wojska moskiewskiego nigdzie w okolicy nie było. Wiedziano zkądinąd, że w ogóle w całej gubernji siły moskiewskie są dość słabe, i przewidywano, że Moskale dowiedziawszy się co zaszło, ściągną tych sił ile będą mogli i wyprawią je na nowopowstający oddział, ażeby mu się nie dać należycie sformować.

Rozpatrzywszy się w mapie i skombinowawszy odebrane doniesienia, dowódca Klin uznał, że najkorzystniej będzie przyjąć potyczkę w okolicy Gradowiec i w tym celu postanowił podzielić swój oddział na kilka drobniejszych oddziałów, rozlokować te oddziały w okolicy, zdala od głównych dróg, i gdy Moskale wejdą w środek utworzonego w ten sposób koła, zaatakować ich jednocześnie ze wszystkich stron.

Plan te śmiały miał jednakże dosyć szans powodzenia, ponieważ do oddziału zeszło się rzeczywiście stosunkowo bardzo dużo ochotników, ożywionych najlepszym duchem, uzbrojonych wcale nieźle i wyćwiczonych jako tako i ponieważ siły moskiewskie, jakich się na razie spodziewać można było, nie były tak bardzo przeważne.

Gdyby się plan ten powiódł w zupełności, to jest gdyby główna siła moskiewska w okolicy wciągnięta w zasadzkę mogła być rozbitą i zniesioną, część granicy galicyjskiej byłaby przez czas jakiś otwartą dla tworzących się tam i wkroczyć mających oddziałów.

Powziąwszy te postanowienia Klin rozporządził, które oddziały w jakim kierunku udać się mają i jaki będzie sygnał ogólnego uderzenia na Moskali. Wymarsz nastąpił jeszcze przed wieczorem i panu Bartłomiejowi Zahajpolskiemu wypadło udać się w stronę Zaskala.

Mała część oddziału, sam dowódca, Stanisław, Józef, pozostali jeszcze w Gradowcach. W Gradowcach również, w klasztorze kapucyńskim, internowany był, to jest zamknięty w okratowanej celi Rafał Fajski, ażeby mu nie przyszła ochota złamać zakaz dowódcy, zabraniający mu opuszczania miasta przez ciąg dni trzech.

Wszystkie narady dowódcy z główniejszymi członkami organizacji odbywały się w garbarni i w mieszkaniu Stanisława, i tam także pozostał dowódca wieczorem gdy już wszystko według jego woli było spełnionem.

— Cóż pan sądzisz o moich rozporządzeniach — rzekł wówczas Klin do Stanisława — i czy nie masz co do poradzenia lub odradzenia póki jeszcze coś zmienić można?...

— O ile sądzić mogę wszystko obmyślane jak najlepiej.

— Aprobujesz pan zatem wszystko?

— Nie mam władzy aprobowania, ale gdybym ją miał aprobowałbym.

— Nawet owo uwolnienie denuncjanta?

— To przedewszystkiem. Na pańskiem miejscu postąpiłbym tak samo.

— I źlebyś pan postąpił — odparł Klin.

Stanisław spojrzał na niego pytająco.

— Ten człowiek „jest szpiegiem“ — odpowiedział na to nieme pytanie — jest niebezpieczniejszym od innych, bo zręcznym i nawet w największej ostateczności jeszcze nie traci przytomności. Dowieść mu tego byłoby łatwo i kara śmierci według prawa wojennego należałaby mu się koniecznie.

We wzroku Stanisława coraz wyraźniej malowało się zdziwienie.

— Ja jednakże uwolniłem go — mówił Klin — a uwolniłem go dlatego, że mi był potrzebny. Nie sztuka złapać i powiesić nieprzyjacielskiego szpiega, sztuka go wyzyskać na szkodę nieprzyjaciela. W naszem położeniu w tej chwili potrzeba, żeby Moskale jak najprędzej dostali się w koło, które na nich zastawiliśmy. Im prędzej przyjdą, tem będą mniej liczni, tem swieższy w naszych zapał, tem pewniejsze zwycięztwo. Otóż nikt inny tak pewno nam ich nie sprowadzi jak ten człowiek.

— Jakim sposobem?...

— Bardzo prostym. Porozumiałem się z Kapucynami żeby mu dali taką celę, z której, jeżeli zechce a ma głowę na karku, będzie mógł uciec jeszcze tej nocy. Pozostawiłem tutaj większą część ludzi z garbarni, w przekonaniu że z pomiędzy nich będziesz pan mógł wybrać kilku takich, którym można zaufać. Tych się postawi na warcie przy klasztorze, z poleceniem, ażeby gdy będzie uciekał strzelali za nim i gonili go, ale żeby go nie trafili ani dognali. Znajdą się ludzie którym to powierzyć można?..

— Są tacy.

— Człowiek ten jednak, wiedząc że mu nic nie grozi nie uciekałby z pewnością. Trzeba zatem, żeby miał interes w ucieczce, trzeba żeby się czegoś ważnego dowiedział, żeby się spodziewał za sprzedanie tej wiadomości Moskalom wielkiej nagrody. Wówczas dopiero nasunie się myśl ucieczki, wtedy spostrzeże że wykonanie tej myśli nie jest trudnem i wtedy dopiero ucieknie, a mniemana pogoń i wystrzały nie pozwolą mu ani na chwilę pomyśleć, że uciekł tylko dlatego iż myśmy go chcieli wypuścić. Dlatego odbędziemy rodzaj rady wojennej w klasztorze, ale w miejscu takiem, że z jego kaźni można będzie słyszeć dosyć dokładnie wszystko. Z tego podsłuchania dowie się naturalnie tylko tego co naszym celom posłużyć może.

co może doprowadzić do spełnienia naszego planu.

Na projekt taki niepodobna się było nie zgodzić, niepodobna go nie pochwalić. Odbyła się więc narada w jednej z sal klasztornych, której Rafał Fajski z największą uwagą wysłuchał, a gdy wysłuchał, pomyślał sobie:

— Oh! ileżby to za to było rubli, gdyby się to do Kamieńca donieść udało!

I jednocześnie zaczął oglądać drzwi i okna celi, wpatrywał się w podłogę, w sufit, w ściany.

Drzwi były grube, dębowe, okute, zamknięte potężnie, okno okratowane, ściany zdolne oblężenie wytrzymać, podłoga z cegieł, a pod nią prawdopodobnie piwnica także zamknięta, zamiast sufitu sklepienie, które już wieki wytrzymało i wieki jeszcze miało wytrzymać.

Nadzieja udania się ucieczki odstępować go zaczęła, ale nie wyrzekł się jej odrazu. Zwrócił uwagę na piec, zajrzał do niego i zobaczył niebo. Uradował go ten widok niezmiernie. Wyjąwszy parę tylko cegieł można było otwór rozszerzyć tak, że przezeń szczupła figurka pobożnego człowieka z łatwością się prześliznąć mogła. Wziął się zatem do rozszerzania otworu jak stary praktyk. Inni się chlubią z tego, że w życiu swojem nie z jednego pieca chleb jedli, on — któż wie? — mógłby się może pochlubić, że już nie przez jeden piec uciekał. Rozszerzając otwór nasłuchywał czy nie ma jakiej przeszkody: cisza panowała w klasztorze, nikt mu przeszkadzać nie myślał...

Około północy znajdował się na dachu klasztornym. Spuścił się z niego bardzo zręcznie i pędem pobiegł za zabudowania klasztorne, ażeby jak najprędzej dostać się na pole. W tej chwili dał się słyszeć wystrzał, podwoiło to rączość jego nóg, po wystrzale nastąpił drugi, który jego chyżość tak spotęgował, że mógłby z zającami iść w zawody.

Słyszał że go goniono, osłaniała go jednak ciemność nocy. Będąc dosyć daleko od goniących ukrył się w krzaku, zboczywszy cokolwiek na lewo. Pogoń ruszyła w prawo i wkrótce znikła w oddali, a pobożny człowiek z usmoloną cokolwiek twarzą i odzieżą, mógł już spokojnie odbywać dalszą drogę.

Uszedłszy parę mil w bok, dostał w jakiejś wiosce furmanki i nazajutrz przed południem był już w Kamieńcu, w kancelarji osobistej policmajstra.

Jakiego tam doznał przyjęcia nie wiemy, świadków przy tem żadnych nie było.

Tymczasem pan Bartłomiej Zahajpolski o dobrym zmierzchu nadciągnął z oddziałem do Zaskala.

Gdy Chapka wpadła do saloniku z wiadomością, że powstańcy idą, pan Artur, który właśnie siedział przy herbacie z ciocią Giefią, oniemal że z krzesła nie zleciał.

Ale uspokoiła go ciocia Giefia, zapewniając, że choćby to był nawet sam pan Bartłomiej, to przecież i jemu wytłumaczyć można, że pójście pana Artura do powstania byłoby narażeniem majątku rotmistrza na konfiskatę, a gdyby to nie pomogło, to przecież ona, ciocia Giefia, ma jeszcze jeden sposób, który będzie dostatecznym z pewnością.

— Jakiż to sposób? — zapytał tym razem bardziej jakoś zaciekawiony marszałkowicz.

Ciocia Giefia otworzyła usta i chciała opowiadac, ale w tej chwili wpadła do saloniku Olena i zawołała;

— Pani, pani, *wże pryjszly!*

Ciocia Giefia pobiegła na spotkanie gości, a pan Artur pozostał sam.

Przez krótką chwilę siedział spokojnie na krześle, ale gdy z przedpokoju dobiegł go gruby i donośny głos pana Bartłomieja: „Czy tak, czy siak panie bratku, nocować tu musimy,“ powstał z krzesła, wyszedł do sąsiedniego pokoju, potem do drugiego i do trzeciego, i nie zatrzymał się aż w buduarze cioci Giefi, w którym od czasu jej wdowieństwa nie postała i nigdy następnie postać nie miała noga męska.

Co tam zobaczył, tego nigdy potem nie opowiadał nikomu, z dalszego jednak ciągu przekonamy się, że niektóre ujrzane przedmioty niemałem go zdumieniem przejąć musiały.

Tymczasem ciocia Giefia, która ufna w potęgę wspólnej z panem Arturem wymowy, a w ostatnim razie licząca na pewno na wymyślony przez siebie radykalny środek, ani myślała ukrywać przed panem Bartłomiejem swojego goscia, wydawszy polecenia co do rozkwaterowania i ugoszczenia oddziału, samego dowódcę wprowadziła wprost do tego pokoju, w którym pozostawiła pana Artura przy herbacie.

Nie zastając go zdziwiła się, a nie będąc dyplomatką z usposobienia, nie umiała dobrze ukryć swego zdziwienia.

— A gdzież jest... — rzekła rozpatrując się po pokoju.

Dopiero w tej chwili przyszło jej na myśl, że marszałkowicz możeby sobie nie życzył widzieć się z dowódcą oddziału.

Ukąsiła się w język, było to przecież już zapóźno.

— Gdzież jest.., kto? — podchwycił szybko pan Bartłomiej.

Poczciwa ciocia zmięszała się.

— Kto gdzie jest?... alboż ja pytałam o kogo?

— Najwyraźniej pytałaś pani...

— Ależ zdawało się panu...

— Czy tak czy siak panie bratku, — uśmiechnął się Zahajpolski — toż pani sama z dwóch filiżanek herbaty nie piłaś... ktoś tu był.

— A chociażby i był — odparła ciocia Giefia, widząc że ją filiżanki zdradziły i że dalsze zapieranie się nic nie pomoże — toż przecie nie grzech.

— Właśnie dlatego że nie grzech, — poświadczył pan Bartłomiej — ta osoba wrócić tutaj powinna. Na wojnie, panie dobrodziejko, ostrożność przedewszystkiem. Mógł tu być jakiś czynownik moskiewski, którego pani ukryłaś przez litość lub obawę, a który potem wymknie się, korzystając z protekcji pani i swoich braci na nas naprowadzi, żeby nas znienacka naszli i jak cielęta porznęli lub powiązali jak barany.

— *Quelle idée!* — obruszyła się szambelanowa.

— Kielide nie kielide — zawołał nie rozumiejący po francusku i niecierpiący cudzoziemczyzny pan Bartłomiej — ten sobaka czynownik, jeśli nie chce, żebym go kazał związać i oddać pod sąd wojenny, niech mi się tu natychmiast stawi. Czy tak czy siak, panie bratku, ja go mieć muszę!

— Ależ to nie był żaden czynownik!

— Więc ktobądź był, tembardziej..,

Pan Bartłomiej się srożył. Pokazać mu w takiej chwili byłego kamerjunkra nie zdawało się cioci Giefi bezpiecznem. Chciała perswadować, szaraczek ani myślał słuchać perswazji.

— Nie mam czasu na dyskursa mościa dobrodziejko — powtarzał — proszę go tu sprowadzić albo zaprowadzić mnie do niego.

— Czekajże pan.. . może sam przyjdzie.., może mu się słabo zrobiło...

— Nie mam czasu czekać... choćby z pod ziemi go wyciągnę.

Ciocia Giefia nie wiedziała już co począć. Ukryła się za ostatnim szańcem obrażonej dumy niewieściej.

— To dobywajże go sobie z pod ziemi kiedy mi nie wierzysz, że nikogo nie było! — rzekła odwracając się z gniewem.

Była pewną, że pan Bartłomiej da pokój i nalegać przestanie, ale omyliła się. Zbliżył się do okna, otworzył je tak szybko, że się zdawało iż wszystkie szyby powylatują i tubalnym głosem wrzasnął:

— Hej! wiara!

Kilku ochotników zbliżyło się do okna.

— Otoczyć dom, pilnować i pod żadnym pozorem nie wypuszczać nikogo! — zakomenderował pan Bartłomiej.

Potem poszedł do stołu, wziął świecę z lichtarzem i grzecznie, z ruchem podobnym do ukłonu, rzekł do szambelanowej.

— A teraz proszę ze mną, jeżeli łaska poszukamy...

Na zbrojną przemoc nie ma rady, ciocia Giefia poddała się i poszła.

Pan Bartłomiej uważnie przechodził pokój za pokojem ze światłem. Patrzył po kątach i za drzwiami, schylał się i rzucał okiem pod kanapy i pod stoły.

— Czy tak czy siak, panie bratku — powtarzał niezrażony niepowodzeniem — w parę się przecież nie rozpłynął.

Tak przeglądając mieszkanie dowódca partyzanckiego oddziału zbliżył się wreszcie do drzwi prowadzących do sypialni szambelanowej.

Już miał wyciągnąć rękę do klamki, gdy zabiegła mu drogę ciocia Giefia i stając przed drzwiami zawołała:

— Ani kroku dalej!

— A to dlaczego?

— Tam mój pokój... od czasu mego wdowieństwa noga męska nie postała w nim i nie postanie.

— Tfy! do djabła! — roześmiał się z prawdziwie szaraczkową rubasznością pan Bartłomiej — noga męska nie postała... no, to i ja tam wejść nie mogę, bo nie umiem chodzić na głowie.

Odwrócił się odedrzwi i zrobił parę kroków w inną stronę, ciocia Giefia poszła za nim.

Gdy się zbliżyła do niego, zawadjaka zatrzymał się i siląc się na grację. ujął ją za rękę. (C. d. n.)

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

Kilka słów o jego życiu i dziełach na tle spółczesnej chwili

przez

ADAMA KULICZKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Nim pójdziemy dalej w rozpatrywaniu utworów Mieczysława Romanowskiego, zestawmy wprzód bibljograficznie daty rzeczy dotychczas rozpoznanych. Zestawienie takie, ujmujące dokładnie chwile twórczej pracy naszego poety, nie pozostanie bez korzyści dla naszych czytelników.

Podajemy zatem tę króciuchną bibljograficzną notatkę.

Chorąży najpierwszy ukazał się w *Nowinach* z r. 1854, ale tylko w pierwszej swej połowie. W całości znajdujemy w wymienionym roczniku tego pisma *Charta Watażki, Tymoleona z Koryntu i Śpiewaka z oazy. Młody lutnista*, tudzież drobne poezje, o których wspomnieliśmy, zamieszczone zostały w *Nowinach* z r. 1855. Osobno wyszły następujące zbiory: a) *„Powieści Mieczysława R. Chorąży. Chart Watażki. Lwów, nakładem H. W Kallenbacha. 1854*. Tu po raz pierwszy ogłoszono *Chorążego* w całej osnowie. — b) *„Śpiewak z oazy, Młody lutnista. Poezje Mieczysława Romanowskiego. Lwów, nakładem H. W. Kallenbacha 1855.“* Drobne utwory pochodzące z tego czasu znalazły prawie wszystkie miejsce swoje w zbiorku poetycznym pt. *Tęcza*, drukowanym w Lipsku z datą *Lwów*, staraniem wymienionego księgarza w r. 1857, gdzie pomieszczono niemal wszystkie celniejsze prace młodych pisarzów galicyjskich, znane z *Nowin*. Ponieważ potrąciliśmy o ten zbiorek, swego czasu dość sympatycznie u nas przyjęty, nie zawadzi tutaj dodać, że prócz utworów naszego poety, zasługują w *Tęczy* na uwagę także wdzięczne piosenki Brunona Bielawskiego i Jana Zacharjasiewicza, znanego wszystkim i wielce zasłużonego powieściopisarza.

Łużeccy wreszcie ukazały się po raz pierwszy w całości w *Dzienniku literackim* z r. 1856, a nadto w osobnem wydaniu z tego roku pochodzącem.

* * *

W cyklu opowiadań poetycznych, które rozpatrujemy, najudatniejszym i najlepiej wykończonym utworem jest *Dziewczę z Sącza*. Poemat ten, jak świadczy data zapisana własną ręką poety, wypracowany został w roku 1858, lecz ukazał się w całości z druku przy *Dzienniku literackim* dopiero w roku 1861. Wychodził w arkuszach jako nadzwyczajny dodatek do numerów: 3, 5, 8, 10, 12 i 14 tego czasopisma. Z nadliczbowych egzemplarzy tego dodatku powstała równocześnie osobna edycja, którą powtórzono w r. 1866.

W *Dziewczęciu z Sącza* spotykamy się z przedmiotem, opartym o doniośliszą jeszcze w dziejach narodu naszego chwilę, aniżeli nią była skreślona w rapsodach wojna z Turkami. Osnowy do mieszczańskiej swej opowieści, o której teraz mówić mamy, zaczerpnął Romanowski w zdarzeniach najazdu Szwedów na Polskę, dokonanego przez Karola Gustawa, jak wiadomo, głównie za podszczeniem i sprawą bannity Radziejowskiego. Nigdy może Polska w trudniejszem nie znajdowała się położeniu i nigdy zdaje się cudowna ręka Opatrzności nie czuwuła nad nią widoczniej i miłościwiej jak wówczas. Z trzema nieprzyjaciółmi naraz przyszło się rozprawiać narodowi, rozdartemu stronnictwami, zdemoralizowanemu bardzo w wyższych swych warstwach, a co za tem idzie, nie zdolnemu od razu poczuć się w swej sile i skuteczny opór stawić wrogom. Toż straszne były wypadki roku 1655 i następnych. Z jednej strony Moskwa zagarniała kraj aż po Lublin i Zamość, z drugiej Chmielnicki o Lwów się dobijał, z trzeciej następywał najgorszy ze wszystkich nieprzyjaciół, zdradziecki syn własnej ziemi, wiodący oręż zamorskiego najezdcy w ojczyste dziedziny. Cała Polska złamana legła pod ciężarem klęsk, które się na nią zwaliły. Zwycięski Szwed zajął szybko Wielkopolskę, Mazowsze i Kraków, a nieszczęśliwy król Jan Kazimierz musiał szukać schronienia po za granicami własnego kraju. Zdawało się, że już ostatnia godzina wybiła dla Rzeczypospolitej...

Na takiem tle czasu skreślił poeta swoję powieść, uwydatniając w niej i ów opłakany stan społeczeństwa i twardy ucisk wroga, lecz zarazem także i przedewszystkiem reakcję przeciw temu uciskowi, mającą na celu wyswobodzenie najechanego kraju. Z liczby wielkich wydarzeń historycznych znalazły wszelako w opowiadaniu naszem jedynie tylko te momenta, które rzeczywiście miały miejsce w murach podkarpackiego miasteczka; należy bowiem nie spuszczać z uwagi tej okoliczności, iż rzecz, którą teraz szczegółowo mamy rozpatrzyć, odbywa się w Sączu, a głównymi bohatyrami opowiadania są typy sławetnych jego mieszkańców. W utworze, o którym mówimy, nie zamierzył Romanowski wystawiać w poetycznem oświetleniu ani naczelnych aktorów owego dziejowego dramatu, ani też kreślić głównych scen jego; to wszystko użycza tylko tła poetycznemu obrazowi *Dziewczęcia z Sącza* i widne jest z daleka; a na przedzie malowidła, przed nami, przesuwają się w głównych rolach figury z tej właśnie warstwy społeczeńskiej, którą uszlachetnić w pieśni, zidealizować i i unieśmiertelnić było zamiarem poety. Figurami takiemi byli m i e s z c z a n i e p o l s c y, a jako zadanie obecne przedsięwziął sobie Romanowski stworzyć p o l s k ą m i e s z c z a ń s k ą e p o p e j ę.

Zanim przystąpimy do osnowy i rozbioru poematu, poznajmy nasamprzód główną jego podstawę. Oto co sam poeta pisze o fakcie historycznym, który mu posłużył za materjał.

„Na Podgórzu Krakowskiem i w Tatrach zbierał się palny materjał do wielkiego dramatu wyswobodzenia, którego pierwszym aktem była konfedracja Tyszowiecka, dwa zaś ostatnie skończyły się w Danji i w Moskwie ze sławą oręża polskiego.“

„Nowy Sącz zagrożony rzezią od szwedzkiego pułkownika Sztajna, w razie gdyby kogo schwytano na znoszeniu się z Czarnieckim, zostawał przez parę tygodni w nieustannej trwodze; wiedział bowiem prześwietny magistrat, że tak niektórzy z szlachty mieszkającej w Sączu, jako też całe młodsze mieszczaństwo, przebrane w świty wieśniacze, znosiło się ciągle z Czarnieckiego ludźmi. Przy pierwszem schwytaniu zatem mogło przyjść do rzezi, a co gorsza, prawie nie było się czem bronić, bo Sztajn zabrał broń miejską i dał ją do schowania szlachcicowi Wielogłowskiemu, arjaninowi. Rzecz w końcu przyszła do przesilenia. Szwedzi postanowili wyciąć i spalić miasto, aby nie mieć nieprzyjaciela za plecami na tak korzystnem stanowisku jak Sącz; wypadło im bowiem wyruszyć z miasta przeciw Czarnieckiemu, który przeciągał po Podgórzu na czele pułku królewskiej hussarji. Mieszczanie atoli, dowiedziawszy się o ich planie, znieśli się z gromadą z Nawojowej i góralami pod dowództwem Wąsowicza, i uprzedzili Szwedów o trzy dni w planie.“

„Powstanie w Sączu zdziałane 13go grudnia 1655, rozszerzyło się wnet po całem Podgórzu. Szlachta z dworców, wieśniacy z chat zbrojni w kosy i siekiery bili wałęsające się po Podgórzu niedobitki Sądeckie.“

A teraz przypatrzymy się z bliska osnowie opowiadania i znaczniejszym postaciom w niem występującym.

Bez obszernych introdukcyj, bez prologu nawet, któryby zawierał ogólne zapatrywanie na ówczesne sprawy i zaznaczał stanowisko lub posłannictwo Polski w tym dziejowym momencie, bez tych wszystkich — mówimy — przyborów, wprowadza nas poeta zwyczajem najznakomitszych epików od razu w sam tok rozwijającego się działania.

Jesteśmy w Sączu, w bielonej izbie mieszczańskiej. Za cisowym stołem, koło kominka, spostrzegamy sędziwego Janusza; przy lampie, która się paliła przed obrazem Chrystusa, siedzi żona Januszowa, równie jak on podeszła laty; pod oknem ich wnuczka jedyna, Basia „kwiat Sącza;“ a naprzeciw dziewczyny młody i urodziwy Bartek, „cieśla z cieślów sławnych.“ Było to nad wieczorem w niedzielę adwentu. Słońce na zachodzie płonęło w rubinach, a promienie jego wciskając się przez szyby okien, ciekawie spozierały na to grono. Basia czytała właśnie w księdze świętych żywotów, a staruszkowie i Bartek zatopieni myślami w tym świecie czystej wiary i cudownych wydarzeń, czerpali ze słów Pisma otuchę w trudnych okolicznościach czasu, w których postawiły ich smutne losy ojczyzny.

Co w sercu, to zwykle i na ustach. Cóż więc dziwnego, że po ukończeniu czytania zaczęli rozmawiać o niedoli, która ich gniotła?... Staremu Januszowi, choć wrogom już nieraz z bliska patrzał w oczy i miał duszę w ciele jak stal hartowną, dojmywało przecież głęboko obecne położenie. Widać to było w jego postaci. Gdy Basia czytać przestała, wstał starzec z miejsca na którem siedział,

> ...chmurny przeszedł przez świetlicę,
> A potem utkwił wzrok w Bogarodzicę,
> Co złote ramy nakształt wieńca miała,
> I stał w zadumie, — łza po łzie spadała
> Na wąs — włos biały zsunął się na czoło;
> On włos odgarnął, westchnął, otarł połą
> Łzy, i wnet mowę obrócił do cieśli...

Poczęli zatem rozpowiadać wypadki dni ostatnich. Mimo bowiem czujnego oka Szwedów wiedziano w Sączu przecież o wszystkiem, co się wówczas działo nietylko w miasteczku, ale nawet w całej szerokiej Polsce. Więc mówiono i o królu, który się kędyś tułał po Głogowie, i o Bylinie rotmistrzu, Sandeczaninie, co w Krakowie poległ przy odpieraniu wroga, i o Czarnieckim hetmanie, którego „żelazne ramię Bóg zginał...“ Smutne były te wszystkie wieści a nie lepszych dostarczał i sam Sącz. Tu bowiem Arjanie Szlichtyng, Siemichowski i żyd Finkiel arędarz starosty znosili się, jak o nich gadano, tajemnie z wrogiem Lutrem i przygotowywali nowe nieszczęścia. Zakonnice opuściły właśnie Staremiasto, uchodząc przed gwałtem. Trudna zaiste

rada w takich okolicznościach, a jedyna jeszcze pociecha we wzniesieniu kornego ducha do nieba. Toż w tej myśli rzekł Janusz do żony:

...Musimy pomodlić się razem,
Zapalcież lampę przed Kingi obrazem,
Bo czcią jej ziemia nasza się zastawia,
I od niewoli święta Kinga zbawia;
Za jej wstawieniem niech nas Bóg pociesza!...

Wnet zabłysła lampa przed świętej wizerunkiem,

I klękli, jako było we zwyczaju,
Starzy na przodzie, młoda para z kraju.

Po modlitwie wstali wszyscy pokrzepieni, rzeźwiejsi, a szczególniej stary Janusz. Przypomniał sobie zaraz awanturę, jaką za młodu, kiedy jeździł do Gdańska z wódkami, sam miał ze Szwedem; poczęły się też odżywiać w jego pamięci obrazy z przeszłego żywota. A nie bez pewnej dumy patrzał on w tę swoję przeszłość...

I ujrzał siebie w dragońskim szyszaku,
Konno z Rewerą na stepowym szlaku.
Wojował z młodu, gdyż bywał burzliwy;
I wspominał sobie tatarskie cięciwy,
I jako z wojny wrócił do rzemiosła,
Jak go znów wojna aż za Boh zaniosła,
Potem na Szweda, Chocim... Kozaczyzna...
I spokój, — powrót, — na głowie siwizna,
Praca, śmierć dzieci...

Teraz na starość została mu wnuczka jedyna, śliczna Basia, której szczęścia jeszcze spodziewał się dożyć. Trzymał zaś od dawna gospodę, słynną w Sączu i chętnie przez mieszczan odwidzaną, którzy w Januszu czcili i zasługi i rozum niepospolity.

Bo to bywalec, co znał wszystkie strony
Mazowsza, Rusi, Litwy i Korony;
A przytem w radzie niepośledni głową,
Czy zgodzić spornych, czy dać za kim słowo.
Gdy stary począł, cichnął gwar okrzyków.
I obierano rajców i ławników;
Ztąd też najbliżej było do ratusza,
Gdzie był sąd, akta —

Gościnna izba bywała też niemym widzem niejednego ważnego zdarzenia.

Dziesiąte ledwie w aktach zapisano,
Co tu zapito, wygrano, przegrano.
Każdy kąt, stoły, szklanki szynkfas, ławy,
Znały dokładnie wszystkie miejskie sprawy.

Tak się przed nami rysuje w szczegółach pierwsza z tych postaci. Nie mniej interesującym jest Bartek. Dzielny młodzian czuł żywo sromotę kraju i nietylko w samej łasce Bożej upatrywał jego zbawienie. Prowadził on wraz z drugimi równymi jemu wiekiem i zapatrywaniami tajemnie robotę oswobodzenia — a dzieło dojrzewało i pozwalało spodziewać się dobrych skutków. W ciągu rozmowy, której treść przywiedliśmy, między innemi w takie odezwał się słowa:

...Wiecie? ratunek nasz blisko!
Pokąd gór naszych dzikich i wyniosłych,
Pokąd górali jak smereki rosłych,
A na toporach dopokąd stal czysta,
Potąd nam nie paść u stóp Antychrysta.

I począł szeroko rozpowiadać, jak przebiegając niedawno góry rodzinne, był wszędzie świadkiem nietajonej nienawiści do wroga; jak się lud cały gotuje do walki; jak nawet opryszki zaprzestawszy rozbojów, ostrzą noże na heretyka. Więc był pełen otuchy, wierzył w powodzenie sprawy i cieszył się już naprzód pomyślnym końcem.

Ha! potańcujeż Szwed, da Bóg! niebawem, —
Na rzece ze krwi ztąd poszlem go spławem,
Flisacy Wisłą, bo w tem ich robota;
Ja ostrzę bardę... Oj! będzie robota
Dla naszych pięści pewnie za trzy jutra,
A ujrzym, czy Bóg nie starszy od Lutra!

Na te słowa i sędziwy Janusz się uradował. Jedna tylko

...Basia zbladła
I z płaczem drżąca na krzesło usiadła.

(C. d. n.)

Messjanizm i Towiańszczyzna

w ogólnym zarysie.

Napisał

Czesław Pieniążek.

(Ciąg dalszy.)

I.

(Hoene - Wroński. — Filozofja messjaniczna. — W czem szukać jej źródeł? — Charakter polski. — Wypadki polityczne i nadzieje. — Romantyzm. — Rok 1830.)

Twórcą systemu filozoficznego messjanicznego, jest Hoene - Wroński i od niego też rzecz samą rozpocząć należy.

Filozof ten urodził się w r. 1777 w Poznaniu, a nauki pobierał w szkole kadetów w Warszawie, poczem wstąpił do korpusu artylerji polskiej. W roku 1794 jako oficer dowodził jedną z bateryj najbardziej posuniętych ku linjom pruskim pod Wolą. W bitwie pod Maciejowicami wzięty do niewoli, wstąpił do służby rossyjskiej w stopniu majora, a wkrótce został posunięty na podpułkownika. W r. 1797 podał się do dymisji i wyjechał do Niemiec, gdzie przez dwa lata oddawał się naukom filozoficznym i matematyczno-przyrodniczym. W r. 1800, znajduje się już w Paryżu, zkąd niedługo do Marsylji wyjeżdża. Odtąd usuwa się zupełnie od społeczeństwa i pracuje przez lat dziesięć nad rozwinięciem pomysłów swoich filozoficznych i matematycznych. Ukończywszy pierwszą pracę swoją, przybywa z nią w r. 1810 do Paryża i przedkłada ją Instytutowi francuskiemu. Była to: Filozofja matematyki. Dumny wykład Hoenego, pomiatający wszystkiemi znakomitościami naukowemi sprawił, że Instytut osądził go jako człowieka pozbawionego zmysłów. Od tej pory potępiony przez uczonych francuskich i za szarlatana ogłoszony, toczył z nimi zaciętą walkę, skutkiem której popadł w najdotkliwsze ubóstwo i utrzymywał się w Paryżu z rodziną z lekcyj, udzielanych w jednym z małych pensjonatów przy ulicy Montmartre. W chwilach największej niedoli, zmienił pierwotne nazwisko Hoene, na: Wroński, następnie oddawszy się z zapałem badaniom filozoficznym, religijnym, i politycznym, znalazł możnych zwolenników, którzy podali mu rękę, a stosunki z bogatym bankierem Areon i wygrany z tymże proces, polepszyły jego położenie. Odtąd już Wroński stale osiadł w Paryżu i niezmordowanie poświęcał się filozofji i polityce.

W r. 1818 wydawać zaczął pismo perjodyczne: *Le Sphynx*, będące pierwszym zwiastunem messjanizmu, nowej filozoficzno- i religijno-politycznej nauki. Rozwijał potem swoje pomysły w dziełach, jak wszystkie jego pióra, po francusku pisanych. Wymieniamy z nich te, które z pojęciem messjanizmu, w bezpośrednim pozostają związku.

Programme de philosophie transcedentale. 1811. — *Philosophie de l'infini. 1814.* — *Probléme fundamental de la politique moderne 1829.* — *Prodrome de la politique moderne 1831.* — *Messianisme 1831.* — *Metapolitique messianique 1840.* — *Question décisive sur Napoleon 1840.*

Wroński umarł w Paryżu w roku 1853 *)

Ogłoszony przez uczonych francuskich za szarlatana, nie byłby Wroński zwrócił uwagi na swego Sfynksa, gdyby nie to, że zaraz pierwsze tego pisma numera, posłano cesarzowi Aleksandrowi, jako rzecz godną najgłębszej uwagi. Zdaje się, że silne na Aleksandrze wywarły wrażenie, gdyż wyrzekł, że są: *Le peril du monde civilisé.* Minister Chataubriand ogłosił Francji tę trwogę cesarza rossyjskiego, co zwróciło na Sfynksa baczniejszą uwagę Francuzów. **)

Dzieło, w którem Wroński messjanizm w systemie filozoficznym rozwinąć usiłuje, *Messianisme*, rozpada się na pięć części.

W pierwszej części: *Prodrome du Messianisme, Révelation de déstinées de l' humanité,* rozwodzi się autor nad ówczesnym stanem ludzkości, mieniąc go chorobą; okazuje historycznie i filozoficznie, zbliżające się przesilenie tej choroby, przedstawia antynomję społeczeńską, czyli walkę dwu przeciwnych, przenikających całe życie społeczne stronnictw: konserwatywnego i postępowego (Torysów i Wigów, arystokratów i republikanów), objawia historyczny bieg i ostateczne cele człowieczeństwa.

Na początku „prodromu,“ znajduje się pięknie wykonana rycina, przedstawiająca koło śród obłoków wiszące, a na niem wszystkie znaki zodjaku. „Patrząc na tajemniczy tytuł messjanizmu — powiada Trentowski — i na te wszystkie korowody, czuje czytelnik nieprzyjemne wrażenie sądząc, że napotyka mądrość magów, coś kabalistycznego, lub mystycznego.“

Mówiąc o antynomji stronnictw, subordynuje Wroński pod pojęcie prawdy: całą działalność postępu, pod pojęcie cnoty: usiłowania konserwatyzmu. Według tego cechuje charaktery narodów, ich historjozofję i dążenia społeczno-polityczne. U Anglików widzi: cześć dla prawdy (postępu) upożytecznianie cnoty (konserwatyzmu), — u innych narodów, wcale odmienne objawy, a u Polaków: oczekiwanie prawdy, nadzieję cnoty; u Żydów: nadzieję prawdy, oczekiwanie cnoty.

Skutkiem tego zapatrywania, charakter Polaków i Żydów jest wielce podobny, bo wszystko u jednych i drugich polega na oczekiwaniu, na spodziewaniu się — a wreszcie na wyglądaniu objawień. To oczekiwanie atoli, nie ma prowadzić do bezwładności i zdania się zupełnego na działalność objawień, bo pierwiastkiem messjanicznym jest dzielność twórcza, a celem jego ostatecznym: przyprowadzenie antynomji społeczeńskiej do bezwarunkowej prawdy i bezwarunkowej cnoty, czyli pogodzenie bezwarunkowego konserwatyzmu, z bezwarunkowym postępem. Do tego atoli potrzeba, aby rozum będący dotąd biernym, odtąd stał się czynnym i wziął sobie za zadanie: nie brać danego sobie z wewnątrz

*) Leona Rogalskiego Historja literatury polskiej. Warszawa 1871. T. II. str. 345—6.

**) Hoene - Wroński, czyli massjanizm polsko-francuski przez Bronisława Trentowskiego. „Rok“ 1844. Poznań.

i zewnątrz, ale stworzyć własny materjał, przez co stanie się **twórczym**.

Nie możemy się powstrzymać, aby wyprzedzając tok rzeczy. nie nadmienić już przy tej sposobności, że w tej teorji Wrońskiego znalazła towiańszczyzna podstawę do ciągłego nawoływania do czynów, chociaż nie wskazywała ich wcale, nie formułowała. Tem też tłumaczy się owa pogarda towiańszczyzny dla wszystkich danych rozumu, dla zdobyczy umiejętności, dla wiedzy już pozyskanej, — i owe nawoływania do skupiania się w sobie samym i słuchania w sobie podszeptów twórczego rozumu, który sam z siebie, przez ducha w człowieku samodzielnie laborującego, prawdę wysnowa. Wreszcie niezrozumiałe zapewnienia Towiańczyków, że nadeszła chwila miłości, braterstwa, zgody i t. d. i radość ich z tego powodu, odnoszą się niezawodnie do zapowiedzianej przez Wrońskiego zgody konserwatyzmu z postępem; owe zaś podobieństwo politycznych charakterów u Polaków i Żydów przez Wrońskiego dopatrzone, znajduje w prelekcjach Mickiewicza energiczne poparcie.

Druga część owego dzieła (*Metapolitique messianique. Desordre revolutionaire du monde civilisé.*) jest rozwinięciem myśli prodromu, a występuje przeciw rewolucji, mówi o tajemnicach Napoleona, które temu wielkiemu człowiekowi powierzyła sama Opatrzność. Przy tej sposobności umieszcza nawet tablicę genealogiczną całej rodziny Napoleona. Napoleon występuje tu jako „goniec boski w przyszłości i ostatni zbawiciel świata.“

Wroński mniema, że nauka jego wyższą jest nad istniejącą politykę i filozofję, i że przeto posiada posłannictwo messjaniczne, jako dążąca do zbawienia człowieczeństwa *). Messjanizm jest podług niego najpiękniejszym kwiatem chrześcijaństwa, ostatecznem, najwspanialszem jego rozwinięciem, gdyż: „Ktokolwiek nie odrodzi się z Ducha św., nie może wejść do królestwa Bożego.“ Messjanizm zaś obwieszcza przyjście Ducha św. którego Chrystus światu zesłać obiecał, aby rozpoczętego dzieła odkupienia dokonał. *Paracletus autem Spiritus Sanctus, quem mittet Pater in nomine meo, ille vos docebit omnia et suggeret vobis omnia, quaecunque dixero vobis.* (Sty. Jan XIV. 26.)

(C. d. n.)

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

(Ciąg dalszy.)

Nie lubię takiego polowania, które polega na tyrańskiej zabijatyce, to też na drugi dzień chcąc się oddać swobodnym łowom, prosiłem djemadara, aby wziął z sobą ze sześciu ludzi i zechciał mi towarzyszyć. Wczorajsza wrzawa rzuciła popłoch między leśnych mieszkańców, i chociaż zaszliśmy z innej strony kniei, po pół dniowem chodzeniu zdobycz moja ograniczała się na kilku wiewiórkach, szaro ceglastych z czarnemi ogonami, kilku papugach o jaskrawych barwach i nareszcie koronując zbiór, przybył kot-tygrys podpalany, z sześcioma pręgami, które w falujących liniach rysowały skórę, a siódma począwszy od końca ogona zbiegała dzieląc się po tylnych nogach. Dosięgnąłem go kulą w chwili gdy dla schronienia wdrapywał się na drzewo; w koziołkach spadł na grzbiet i pomimo że miał zgruchotaną kość pacierzową, dokonywał niepojętych podskoków, i miaucząc przeraźliwie usiłował wszelkiemi siłami rozdrapać nas pazurami. Żeby więcej nie dziurawić skóry kazałem go kijami dobić; był tak duży, że śmiało mógł zadusić owcę.

Chciałem już wracać gdy w tem ostry i przenikliwy krzyk jakiegoś ptaka rozległ się po lesie. Indjanie spojrzeli na mnie wymawiając *mhorela! monaul mohor!* co miało oznaczać pewien gatunek pawia; zwróciwszy się zatem, skierowaliśmy nasze kroki ostrożnie przez zarośla ku stronie dosłyszanych głosów.

W rodzaju naturalnego kiosku, którego kopuła z gałęzi sklepiała się nad miękkim zielonym kobiercem, obwodu może dwudziestu kroków, bądź siedziały, bądź stojąc dziobały niezwykłej wielkości ptaki, z których dwoje przewyższało wzrostem inne. Było ich piętnaście do szesnaście sztuk i na pierwszy rzut oka myślałem, że Indjanie pomylili się twierdząc, że to były pawie; nigdy bowiem nie widziałem tak dużego gatunku, a piękne barwy złota, szafiru i szmaragdu, gubiły się w cieniu tworząc jednostajny czarny połysk. Wysłałem dwa strzały w sam środek familijnej grupy. Pięć sztuk zostało na murawie, reszta z przerażeniem schroniła się w krzaki. Kiedym przy świetle słońca obejrzał moje ptaki, ciemno brunatne tło opierzenia wyjaśniło mi tajemnicę, dla czego jaskrawa ich wierzchnia barwa gubiła się w pół cieniu.

Charakterystyką tych ptaków jest ociężałość, apatja i domatorstwo; lubią one familijne życie i rzadko wydalają się z lasu, chociaż nigdy nie siadają na gałęziach. Obdarzone uczuciem przywiązania, mimo płochliwości bronią dzielnie potomstwa, i rodzina nie rozbiega się, póki nie nadejdzie czas w którym dzielą się parami, a i wtenczas nawet łączą się często by razem odeprzeć wspólnych nieprzyjaciół, jako to gady, pełzacze, gryzonie i małe drapieżniki. Właściwą ich ojczyzną jest Nepa, ponieważ nie zdarzyło mi się napotkać tego gatunku nigdzie więcej, jak tylko w północno wschodniej stronie Bengalu, a sądząc z obyczajów, charakteru i powierzchowności, chętniebym im przyznał mięszane pochodzenie z połączenia indyków z pawiami.

Podwójną przyjemność osiągnąłem z mojego polowania, z powrotem bowiem do Bengaluzy, czyli willi, przewodnicy zmienili drogę, prowadząc mnie przez rozległą płaszczyznę, na której uprawiano krzewy i rośliny, przynoszące większą część olbrzymich dochodów naszego miljonera. Wzdłuż drogi zieleniały różne gatunki paproci, których części ściągające wchodzą w skład goryczy *Bishmea*, wielce poszukiwanej na targach Indji. W miejscach bagnistych i po nad strumieniami, wyrastała ciekawa roślina mięsożerna, o liściach szerokich, mięsistych, znacznej długości, której środkowe pręciki skręcone w rurkę spiralną, rozszerzają się w kształcie urny z ruchomą nakrywką. Ciecz zawarta w lejkowatych liściach, którą można pić, służy do przyciągania i trawienia owadów uwięzionych za pomocą zapadającej nakrywki. Nazwę jej *Nepanthes* (co rozprasza wszelkie smutki) przez pomyłkę etymologiczną błędnie przypisują Homerowi. Poeta grecki dając ją mógł mieć na myśli tylko *haschisch*, narkotyk znany ludom wschodnim, a nigdy ciecz ckliwą bez żadnego smaku.

Żywe płoty i ogrodzenia po największej części były zasadzone drzewami owocowemi; widziałem tam derenie, jabłka i pigwy, z których wyrabiają sławne konfitury i galarety, pestek zaś używają kobiety do gładzenia włosów. Dostrzegłem także *Benthamia*, która z liści i owoców jest nadzwyczaj zbliżoną do krzewu poziomkowego naszych stref południowych, a służy do wzmacniania dziąseł i nadaje zębom pierwotną ich białość — wreszcie *Photinia dubia* z owocem podobnym do jarzębiny, z której wyciągnięta szkarłatna farba jest wielce ceniona.

Na dość rozległej przestrzeni zauważyłem pomięszane rośliny, różniące się między sobą zewnętrznemi formami; jedne wydawały przykry zapach, drugie wysmukłe miały kwiat wonny, trzecie w rodzaju drzewek rodziły owoce niby jabłka jajowate a opatrzone dobremi kolcami. Kilku ludzi strzegło tej plantacji. Zbliżywszy się, rozpoznałem rośliny należące do jednej grupy *daturah*, dziś zaniedbane w składach aptecznych, ale których straszne skutki wypisane są czarnemi literami w historji tutejszych zbrodni. Szeroko rozramienione stowarzyszenie Tugsów, usypiaczy, dusicieli, podpalaczy i morderców, użytkuje trujący sok datury, mięszając go z napojem dla wprawienia w sen letargiczny osób, na których chcą wywrzeć swoją zemstę. W dużej ilości trucizna ta powoduje natychmiastową śmierć, ale że jej gorycz może naprowadzić na domysł, więc złoczyńcy zadają ją w mniejszej dozie. by tym sposobem wprawić swoją ofiarę w stan odrętwienia. Szarlatani, kuglarze i czarownicy rozległego Wschodu, sprzedają za cenę złota ten piekielny produkt, osobom mającym ciemne i tajemnicze zamiary. Bajadery, kobiety trudniące się frymarką wdzięków swoich lub cudzych, niewiasty zakochane albo dręczone zazdrością, przyrządzają z datury napój pobudzający zmysły. Często stan ten lubieżnej egzaltacji prowadzi jednocześnie w objęcia śmierci, nadchodzi bowiem deliruim, utrata pamięci, napady szału, i w krótkim czasie następuje konanie. Wzmiankowana trucizna jest tem straszniejszą, że niepoddaje się żadnej analizie i wszelkie badania są bezowocne.

Trochę dalej ujrzałem kilkunastu robotników przebiegających z rzemieniem skórzanym w ręku łan indyjskich konopi (*cannabis indica*) z których ciecz smolna służy do przyrządzenia napoju znanego u ludów wschodnich pod nazwą *haschisch*. Jest to roślina podobna do naszej, ale jaśniejszej zieloności, niższa, wiotka i mizerna, a kwiat na wpół uschły więcej zbliżony do nasienia rezedy niż do kiści konopi. W Afryce, w Turcji, u Arabów i Persów, w krajach Birmanji, Malezji, w Chinach a nawet na znacznej części indyjskiego kontynentu, otrzymują z niej pierwiastek smolny, kilkakrotnie powtarzając czynność następującą: Kwiaty, liście, młode wypustki i końce górnej łodygi miażdżą starannie nalewając wodą, i kiedy naciągnie esencja, przepuszczają ciecz przez płótno i za każdym razem jakaś cząstka smolna chwyta się tkaniny. Ale w Nepalu i okolicach przyległych, roślina tak obfituje w części smolne, że ciecz wydziela się sama osiadając kroplami na górnych łodygach i za pomocą giętkich rzemieni zbierają tę rosę, która następnie urobiona w małe gałki odchodzi do Kalkuty, zkąd rozsyłają ją po całej Azji pod nazwą smoły *ganjha*.

Trudno by znaleźć substancję więcej rozpowszechnioną i której by użytek w tak daleką

*) „Prodrome“ rozpoczyna w te słowa: „Enfin, après de si longues tenèbres, pouvons nous esperer, que la lumière va paraitre sur la terre.“

sięgał przeszłość. Wszystkie języki jakiemi w Azji mówiono, i do dziś używane narzecza, mają właściwą nazwę dla tego narkotyku. W księgach Zoroastu jest on często wspominany, pismo hieroglificzne księży egipskich wzmiankuje o nim, a nawet w poezjach Homera odnajdujemy ślad, że w onych czasach substancja ta była już rozpowszechnioną na wybrzeżach niższej Azji, zkąd się dostała do Grecji. Wchodziła ona również w skład tych wszystkich cudownych napojów przyrządzanych przez czarnoksiężników i kuglarzy, o których tyle mówiono we wiekach średnich, przypisując im siłę nadprzyrodzoną.

Nie rozszerzając się długo nad pełną grozy historją paszów perskich, sułtanów, kalifów i nad sprośnemi występkami wielkich Mogołów, rajahów i nabobów Indji, i odwracając się z obrzydzeniem od obrazu rozpusty kryjącej się w gmachach niewiast w Lucknau, Delhi, Viziapur i tych wszystkich miast gdzie wyuzdaność dochodziła do najwyższego stopnia, powiem tylko, że nie było zamachu popełnionego w pałacach lub haremach, aktu sprosnej rozpusty dokonanej w świątyniach Brahmy, podczas uroczystości na cześć bożka *Lingam*, i na procesjach hinduskiej *Trimurty*; żadnego morderstwa, żadnego gwałtu dokonanego w święto bogini *Khali*, albo krwawej saturnalji muzułmańskich sektatorów, żeby haszysz pod jakąkolwiek postacią nie odegrał swojej roli.

Ale nie tylko fanatycy używają smoły *ganjha*, by w czasie uroczystości religijnych wprawiać się w stan rozwiązłej egzaltacji. Nie same także upadłe kobiety robią z niej użytek dla swych klientów, sprawiając im sny fantastyczne, hallucynacje na jawie, marzenia pełne roskoszy, szału i upajających obrazów, — albowiem wszyscy używają tej substancji w mniejszej ilości. Stanowi ona niezbędny artykuł życia codziennego, a bywa przyrządzana w pigułkach i pastylkach, domięszywaną do ciast, cukrów, konfitur, sorbetów, napojów chłodzących; używaną do potraw, jak my używamy pieprzu i innych korzeni, domięszywaną do preparatu *goudouk*, który palą w fajkach znanych *hukka*; krótko mówiąc znudziłbym czytelnika, chcąc wyliczyć przeróżne sposoby jej przyprawiania, które im szkodliwsze tem więcej są poszukiwane.

Utrzymują, że temperament Indów potrzebuje umiarkowanej dozy smoły *ganjha* dla pobudzenia zmysłów, zniedołężniałych przez brak potraw mięsnych, które oni zastępują czysto mącznemi, ale że na pochyłości trudno im się utrzymać, więc mimowolnie czują się pociągani ku zwiększaniu dozy. Ludzie zdenerwowani i wycieńczeni po chwili doznanej roskoszy, uciekają się znowu do środka sprawiającego im przyjemność, i stan zdrowia pogarsza się nieznacznie; po upojeniu następuje apatja, po roskoszy niemoc, a nakoniec idjotyzm.

W Birmanji smołę *ganjha* wypędzono z środkowych prowincyj państwa zakazem cesarskim i użytek jej pozostawiają wyłącznie cudzoziemcom, odwidzającym porty Arakanu i Pegu; zato Malajczycy spożywają nieumiarkowaną ilość tego narkotyku, w różnych upajających przyprawach, i wpadają często w szał taki, że graniczy z furją. W tym stanie przebiegają ulice z bronią w ręku przebijając ludzi, których zdarzy im się napotkać. W Puloo-Pinang widziano jednego nędznika, jak w przeciągu kilkunastu minut zasztyletował jedenaście osób: policja zmuszona była ubić go jak psa wściekłego. Chińczycy, pomimo zakazu cesarskiego palili konopie, ale od czasu jak Anglicy trują ich za pomocą opium, kontentują się domięszywaniem do niektórych napojów płynnego ekstraktu z *ganjha*. Ja sam wieczorem dnia w którym Konstantyna została zdobyta t. j. w r. 1837 upajałem się algierskim haszyszem, i paliłem *kief*, wyskok z konopi, ale doświadczenie nie było marne i przez cały czas pobytu w Indjach umiałem oprzeć się pokusie używania *malacku i bawhgu*, dwóch najsilniejszych preparatów, natomiast raczyłem się często sorbetami z *ganjha*, bez złych jednak skutków.

ROZDZIAŁ III.

(Kilka słów o Birmanji. — Zakonnicy uratowani. — Trzęsienia ziemi. — Jaszczurka przestrzega śpiewem.)

Trzęsienie ziemi jest bez zaprzeczenia kwestją zajmującą w wysokim stopniu całą ludzkość. Ileż to nieszczęść, ile klęsk sprowadza jedna czasami chwila! Jakąż to ludność w kilku czasem minutach grzebią walące się gruzy, pozostawiając śmierć i ruiny na miejscu, gdzie przed chwilą panowały życie, ruch i gwar wielkiego miasta. Zamiast wspominać wypadki zniszczenia, spowodowane trzęsieniem ziemi w różnych częściach naszego globu, dla czego raczej nie pomyśleć, czy nie znalazłby się sposób ochraniający ludność od zagłady? Sposób taki jest, trzeba go tylko umieć zużytkować. Wszystko to zawisło od aklimatyzacji pożytecznego zwierzęcia, któremu słynny Alompra, wskrzesiciel monarchji Birmańskiej i założyciel dynastji dziś panującej winien swoją świetną karjerę.

Część Indji pozagangesowych, którą zwiemy cesarstwem Birmańskiem, rozciąga się od stóp Himalajów do zatoki Martabanu, opierając się o krańce cesarstwa Siamskiego, stanów Shans, Chin i zatoki Bengalu. Różne ludy zdawna tam osiadłe, Shansowie, Laosy, Khakuye, Kharensy, Mutzasy, Birmanie, Kathowie, Peguanie, Arakanie naprzemian dzierżyli władzę. Największym blaskiem w historji średniowiecznej, zajaśniały królestwa Pegu, Proom, Paghan-Mhyoo, Arakanu, Avy i państwo Kathay, które jakto się okazuje z niezaprzeczalnych dokumentów, zwidzali z końcem VI wieku zakonnicy Nestorjańscy. W połowie XIII stulecia, w czasie rozlania się plemienia Mongolsko-Chińskiego, zwycięzcy założyli w Awie dynastję, która jednak nie przetrwała całego wieku, i królestwa Kathay, Arakanu, Avy i Pegu, napowrót powstały, by jednak w walce runąć wszystkie, z wyjątkiem dwóch rywalizujących mocarstw: Avy i Pegu. Nakoniec w r. 1752 Peguanie podbili Avę tworząc jedno państwo. Pomiędzy różnemi plemionami, które zamieszkiwały terytorjum upadłego mocarstwa, byli Birmanie, czyli *Burmahs*, lud pracowity, oddany rolnictwu i przemysłowi, który przez ostatnie podbicie znalazł się w stanie bliskim niewolnictwa. Byli oni rozsiedleni na znacznej przestrzeni w okręgu miasta Avy i między nimi znajdował się mąż wielce przez wszystkich poważany dla rozumu i cnót osobistych. Aong lub Aloon, był bogatym dzierżawcą i mieszkał we wsi Mokesoboo, w pobliżu której wznosił się wspaniały klasztor (*Khyoung*) którego przełożony (*fsaya*) używał także wielkiego poważania w całej okolicy. Peguanie zrabowali klasztor, i Aloon uwiadomiony o tem pospieszył z zapasami żywności do zakonu, a gdy już złożył swoją ofiarę i miał przestąpić próg klasztorny, doleciał uszu jego pewien odgłos, który skłonił go do zawrócenia.

— *Phra!* (władco) rzekł do przełożonego — opuśćcie coprędzej dom ten, gdyż inaczej zginiecie wy i wasi księża.

— Co znaczą te słowa? — zawołał przestraszony Tsaya.

— Za chwilę będzie trzęsienie ziemi. W imię nieba wychodźcie coprędzej!

— Przerażasz mię naprawdę — wyrzekł duchowny coraz więcej zaniepokojony.

— Biorę na świadka słów moich *Tarah Gaudamy* (dosłownie ducha Buddy) rzekł Aloon tonem namaszczenia.

Księża poczęli spiesznie opuszczać klasztor, a zaledwie ostatni minął furtę, budynek rozsypał się w gruzy. Działo się to w 1753 roku i od dnia tego prostoduszni i bogobojni ci ludzie, uważali swojego wybawcę za zesłanego od Boga.

Wkrótce po tem zdarzeniu, oddział Peguanów napadł i zrabował własność Aloona. Dzielny mąż nie namyślając się długo, zebrał co prędzej garstkę rolników a uderzywszy na rabusiów, zrąbał ich na miazgę. Pierwszy krok był dokonany, i nasz bohater podnosząc sztandar rewolucyjny, w imię uciemiężonej narodowości Birmańskiej, stanął na czele zebranej siły krajowej, a chociaż żołnierz jego był źle uzbrojony i wymustrowany, odwaga i zapał dopełniły reszty, i w stanowczej chwili rozbili liczny oddział armji nieprzyjacielskiej. Przełożony klasztoru w znacznej części przyczynił się do tego powodzenia; pamiętny na przysługę mu oddaną, przyłączył się bowiem z duchowieństwem do sprawy Aloona czem pociągnął całą ludność kraju. Przed końcem roku 1753, Peuganie zostali wygnani z części którą zawładnęli, miasto Ava odebrane, i nieznany do niedawna dzierżawca, kazał się koronować pod imieniem Alompra, (Aloon Phra). Nie wstrzymując tryumfalnego pochodu, zawładnął kolejno jedną częścią Assamu, krajami Munipuri, Tipesari, Arakan, Pegu, Tenasserim, aż w r. 1760 kładąc tamę zwycięskim pochodom śmierć zabrała go z tego świata, w chwili gdy oblęgał stolicę państwa Siamskiego.

Od tego czasu panujący Birmanji jako też pierwsi dygnitarze duchowni, nie zamieszkują więcej murowanych domów. Co się tyczy odkrycia Alompra, które mu pozwalało przepowiadać trzęsienia ziemi, przechowało się ono w rodzinie panującej i między starszem duchowieństwem, jako tajemnica stanu, sekret kasty księżej i objawienie niebios. Co to zaś za tajemnica, zaraz opowiem.

(C. d. n.)

PAMIĘCI
Seweryna Goszczyńskiego.

Znowu łzę krwawą biedny narodzie
W olbrzymią zlewasz łzawnicę!
Boś jako pielgrzym w błędnym pochodzie
Przez stepy, mroki, mgławice —
Któremu gwiazdy jedynie znaczą
Drogę, przestrogą swą jasną.
Cóż można zrównać z jego rozpaczą
Gdy mu z kolei pogasną?!

Płacz mój narodzie, serc milijonem
Tak dzwoń nad Wieszcza mogiłą,
Jak każdym lutni żelaznej tonem
Jego ci serce dzwoniło!

Płacz ! bo cię rzucił wybraniec Boży,
Co wieniec cierniowy pieśni
U tronu prawdy spokojnie złoży,
Bez ziemskiej skazy i pleśni.

Płacz ! bo cię rzucił duch wielkiej woli
Wielkiej ofiary i męztwa,
Co z burz uścisku, z doli, niedoli
Wynosił sztandar zwycięztwa.
I umiał do dna spełnić w ukryciu
Całą poświęceń truciznę —
I jedno tylko ukochać w życiu,
Ale do zgonu !... Ojczyznę !

Płacz ! bo ci ubył pracownik cichy,
Którego z drogi nie zwiodły
Blichtrów połyski, ni widmo pychy,
Ni poszept odstępców podły !
Ni ciężar pracy twardej a krwawej,
Ni szczęścia uśmiech przelotny...
Co umiał wierzyć w świętość swej sprawy
I umiał umrzeć — samotny !

Płacz mój narodzie ! lecz nie zwątpieniem,
Nie łzą i skargą niewieścią,
Ale ogromnem ducha wzniesieniem,
Spokojną męża boleścią !
Wiarą, co drogie stroi mogiły
W nieśmiertelników swych wieńce —
I tą miłością, co krzepi siły
Do czynu łącząc nam ręce!

Bo zmarły Wieszcz nasz, rycerz, syn prawy,
Co wszystko oddał Ojczyźnie,
Lutnię, wzór wzniosły i miecz nam rdzawy
W świętej zostawił spuściźnie !
Więc Mu nad laury lepiej dowiedzie
Wdzięcznej narodu pamięci,
Gdy nas ta pamięć w przyszłość powiedzie
I na bój wielki — poświęci!

25 Luty 1876.

Marja B.

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

CZĘŚĆ TRZECIA.

Tajemnica.

ROZDZIAŁ V.

(Ciąg dalszy.)

(Twierdzenia inżyniera. — Olbrzymie hipotezy Pencroffa. — Baterja napowietrzna. — Cztery wystrzały. — Rozmowa o piratach. — Ayrton się waha. — Wspaniałomyślność Cyrusa Smitha. — Pencroff poddaje się z żalem.)

Tak więc wszystko się wyjaśniało podmorskim wybuchem torpilli. Cyrus Smith, któremu podczas wojny amerykańskiej nieraz zdarzała się sposobność wypróbowania tych straszliwych narzędzi zniszczenia, — nie mógł się mylić w tym razie. Nie ulegało wątpliwości, że to pod działaniem takiego cylindra, naładowanego substancją wybuchającą, nitrogliceryną, czy też inną materją tegoż samego rodzaju — wody kanału podniosły się na kształt trąby powietrznej i bryg zdruzgotany w swoich fundamentach, zatonął w mgnieniu oka. Tem także tłumaczyła się następnie zupełna niemożebność naprawienia statku, takim spustoszeniem uległo jego pudło. Torpilli, zdolny zniszczyć pancerną fregatę tak łacno jak łódź rybacką, — *Speedy* nie mógł się oprzeć!

Tak, wszystko się wyjaśniało, wszystko... oprócz tego, jakim sposobem torpilla znalazła się pod wodami kanału.

— Moi przyjaciele, — zaczął tedy na nowo po chwili Cyrus Smith, nie możemy już dłużej wątpić o obecności jakiejś istoty tajemniczej, jakiegoś nam może podobnego rozbitka, opuszczonego przez swoich na tej wyspie. A mówię to dla tego, ażeby Ayrtona w tajemniczyć w te wszystkie dziwy, które nam się zdarzyły od dwóch lat. Kto jest tym dobroczynnym nieznajomym, którego zbawiennej pomocy doznaliśmy w tylu okolicznościach — tego wyobrazić sobie nie mogę. Co go skłania do takiego postępowania, do ukrywania się po tylu oddanych nam przysługach? I to rzecz dla mnie nie do pojęcia. Nie mniej jednak, przysługi owe są rzeczywiste i należą do rzędu tych, które mógł oddać tylko człowiek rozporządzający cudowną prawie władzą. Ayrton zawdzięcza mu tyle co i my, jeżeli bowiem tym, który mnie wydobył z fal po spadnięciu balonu, był tajemniczy nieznajomy, to widocznie także on a nie kto inny napisał ów dokument, puścił butelkę ową na wody kanału i tym sposobem zapoznał nas z położeniem naszego towarzysza. Dodam i to, że skrzynię ową, tak wybornie zaopatrzoną we wszystko czego nam brakowało, — on to musiał spławić i wyrzucić na ląd przy przylądku Rozbitków, — że ów ogień umieszczony na wyżynach wyspy, dzięki któremu zdołaliście dobić do niej — zapalony był jego ręką, — że ziarnko śrótu znalezione w ciele pekarysa pochodziło z jego broni, — że tę torpillę, która zniszczyła bryg, on zagłębił w wody kanału; słowem, że te wszystkie niepojęte zdarzenia, z których sobie zdać nie mogliśmy sprawy, winniśmy tej tajemniczej istocie. Ktokolwiek więc jest ów człowiek, rozbitek czy wygnaniec, bylibyśmy niewdzięcznikami gdybyśmy choć przez chwilę uważali się za wolnych od wszelkiego obowiązku względem niego. Zaciągnęliśmy dług — i mam nadzieję że go kiedyś spłacimy.

— Słusznie mówisz, drogi Cyrusie — odpowiedział Gedeon Spilett. Tak, znajduje się istota, prawie wszechmocna, ukryta kędyś na tej wyspie, a której wpływ osobliwie był pożytecznym dla naszej osady. A dodać jeszcze i to potrzeba, że ten nieznajomy zdaje się rozporządzać środkami, graniczącemi prawie z siłą nadprzyrodzoną, gdyby w zdarzeniach tego życia działanie sił nadprzyrodzonych przyjąć było można. Onże to wchodzi z nami w skryty stosunek za pośrednictwem studni w Granitowym Pałacu— i czyż tym sposobem dowiaduje się o wszystkich naszych zamiarach? Czyż to on podsunął nam ową butelkę, gdy łódź nasza robiła pierwszą wycieczkę na morze? Onże to wyrzucił Topa z wód jeziora a zadał śmierć dugongowi? Czyż to on — jak zresztą wszystko wierzyć każe — wyratował ciebie z fal morskich, Cyrusie, i to w okolicznościach takich, w których istota posiadająca siłę tylko ludzką, nicby zdziałać nie była zdołała? Jeżeli on to wszystko uczynił, to zaiste posiada potęgę, dającą mu władzę nad żywiołami.

Uwaga korespondenta była nader słuszną i wszyscy to dobrze uczuli.

— W samej rzeczy — odrzekł Cyrus — jeżeli pomoc istoty ludzkiej nie jest już bynajmniej dla nas wątpliwą, to przyznaję, że ma ona do rozporządzenia środki, przechodzące zwyczajną możność ludzką. W tem właśnie jeszcze leży tajemnica — jeżeli jednak uda się nam odkryć człowieka i tajemnica się odkryje, kwestja więc tak stoi: czy powinniśmy uszanować incognito tej wspaniałomyślnej istoty, — czy też nie oszczędzać niczego dla zbliżenia się do niej? Jakież macie zdanie w tym względzie?

— Ja sądzę, — odrzekł Pencroff, — że mniejsza ktoby on tam nie był, dzielne to człowieczysko posiada cały mój szacunek.

— Zgoda! — odezwał się Cyrus Smith — ale to jeszcze nie odpowiedź, Pencroffie.

— Mój panie, — wtrącił w tem miejscu Nab — mnie się zdaje, że możemy szukać, ile nam się podoba pana, o którym mowa — a nie odkryjemy go, aż wtedy, kiedy to jemu się podoba.

— Wiesz, że to nie głupie, coś powiedział Nabie, zawołał Pencroff.

— I ja podzielam zdanie Naba, odezwał się Gedeon Spilett, ale nie widzę jeszcze w tem racji, ażebyśmy się mieli wyrzec próby. Czy odkryjemy, czy też nie, tę tajemniczą istotę, spełnimy przynajmniej nasz obowiązek względem niej.

— A ty moje dziecko co sądzisz o tem? — rzekł inżynier, zwracając się do Harberta.

— Ach! — zawołał Harbert z płomieniejącem okiem, jakżebym chciał podziękować człowiekowi, który uratował najprzód pana a potem nas wszystkich.

— Nie zły gust ma ten chłopiec, — odparł Pencroff — a ja myślisz, że nie? — a my wszyscy!... Nie należę do ciekawskich, ale dalipan dałbym jedno z moich zdrowych oczu, za przyjemność spojrzenia twarz w twarz temu obywatelowi? Zdaje mi się, że musi być piękny, wysoki, silny, i spoczywa na obłokach, trzymając wielką banię w rękach.

— Ależ Pencroffie, — zawołał Gedeon Spilett — toż to obraz Boga Ojca nam rysujesz.

— Bardzo być może, panie Spilett — odparł marynarz — ile ja sobie tego tajemniczego tak przedstawiam.

— A jakież pańskie zdanie pod tym względem, Ayrtonie? — spytał inżynier.

— Panie Smith, — odparł Ayrton — ja nie mam tutaj bynajmniej zdania. Co zrobisz będzie dobre. Jeżeli pozwolisz mi wziąć udział w waszych poszukiwaniach, znajdziesz mnie pan w pogotowiu, każdej chwili.

— Dziękuję panu za tę gotowość Ayrtonie — odparł Cyrus Smith — ale radbym usłyszeć od ciebie wyraźniejszą odpowiedź na moje pytanie. Jesteś naszym towarzyszem, — nieraz już narażałeś się dla nas, jak wszyscy więc inni tutaj i ty masz prawo do rady, skoro idzie o powzięcie ważnego postanowienia. Mów więc.

— Panie Smith — odezwał się na to Ayrton — co do mnie, sądzę, że nie powinniśmy zaniedbać niczego kn odnalezieniu tego nieznanego dobroczyńcy. Kto wie, może jest samotny,— może cierpi? Może życie jego potrzebuje odrodzenia. I ja, jak to pan sam wspomniałeś, zaciągnąłem względem niego dług wdzięczności. On to bowiem, nikt inny tylko on przybył na wyspę Tabor, znalazł tam nędzarza, któregoście poznali i dał wam znać — o nieszczęśliwym potrzebującym ratunku. Jemu to więc zawdzięczam powrót do godności ludzkiej. O nie, nigdy tego nie zapomnę!

— Więc rzecz postanowiona, odezwał się Cyrus Smith. Zaczniemy poszukiwania o ile możności najprędzej. Nie zostawimy ani cząsteczki wyspy bez zbadania. Przeszukamy ją aż do najtajniejszych kryjówek, a nieznany przyjaciel

przebaczy nam to przez wzgląd na intencję naszą.

Przez kilka dni osadnicy oddali się z gorliwością pracom około zbioru siana i zboża. Przed ostatecznem zabraniem się do zbadania nieznanych jeszcze części wyspy, postanowili ukończyć wszelkie niezbędne roboty. Była to także pora zbioru rozmaitych jarzyn pochodzących z roślin sprowadzonych z wyspy Tabor. Szło już tylko o pomieszczenie wszystkiego na składzie, ku czemu na szczęście nie brakło miejsca w Granitowym Pałacu. Wszystkie bogactwa wyspy dałyby się były tam władować. Złożono tedy tam wszystkie produkta w metodycznym porządku i w zupełnem bezpieczeństwie od szkody tak ze strony ludzi jak i zwierząt.

Nie było co także obawiać się najmniejszej nawet wilgoci w śród tych grubych granitowych murów. Wiele z naturalnych zagłębień, znajdujących się w wyższym korytarzu powiększono i rozkopano bądź to oskardem, bądź miną — i tym sposobem pałac Granitowy stał się magazynem głównym, mieszczącym w sobie zapasy żywności, amunicję, narzędzia i sprzęty zbywające, — słowem wszystkie nieruchomości osady.

Co do armat pochodzących z brygu, piękne te okazy z lanej stali, na natarczywe żądania Pencroffa wywindowano za pośrednictwem bloków prawie aż do wchodu pałacu Granitowego; następnie urządzono strzelnice pomiędzy oknami i wkrótce można było ujrzeć błyszczące paszcze tych niszczycielek wychylające się z granitowego muru. Z tej wyżyny armaty panowały rzeczywiście nad całą zatoką Unji. Utworzył się ztąd rodzaj małego Gibraltaru i każdy okręt, któryby starał podpłynąć pod wysepkę byłby wystawiony niechybnie na ogień tej napowietrznej baterji.

— Panie Cyrusie — odezwał się pewnego dnia Pencroff, było to 8 listopada — teraz kiedyśmy już dokończyli uzbrojenia, — wartoby było sprobować donioslości naszych pukawek.

— Czy sądzisz, że to potrzebne? odpowiedział inżynier.

— Co potrzebne? — niezbędne! Bez tego zkądże się dowiemy na jaką odległość można będzie wysłać jednę z tych pięknych kul, w które jesteśmy zaopatrzeni.

— Zróbmy więc próbę, Pencroffie — odrzekł inżynier — i to z wszelką ostrożnością.

Inżynier był pewny, że działa te są doskonałego wyrobu — a znał się na tem. Były one z kutej stali, nabijane z tyłu i ztąd zdawały się zdolnemi do znoszenia znacznego ładunku a pocisk z nich wyrzucony powinien był mieć ogromną doniosłość.

I w istocie, jeżeli idzie o rzeczywisty pożytek z wystrzału, linia biegu spisana przez kulę winna być o ile możności wytężoną, — wytężenie to zaś daje się uzyskać jedynie wtedy, gdy pocisk posiada bardzo wielką szybkość początkową.

— O! — rzekł Cyrus Smith do towarzyszy. — A szybkość początkowa znowu powstaje w prostym stosunku do ilości zużytego prochu— przy fabrykacji dział tedy, najważniejszą jest kwestją, aby użyć do nich metalu posiadającego w jak najwyższym stopniu siłę oporu. Takim zaś metalem jest niewątpliwie stal. Sądzę tedy, że działa nasze znoszą bez szwanku napór gazów z bawełny strzelniczej, i wydadzą wyborne rezultaty.

— O wiele wzmocni się jeszcze ta pewność nasza, skoro je wypróbujemy — odrzekł Pencroff.

Rozumie się samo przez się, że wszystkie cztery armaty były w jak najlepszym stanie. Od czasu wydobycia ich z wody marynarz poświęcił się sumiennemu ich odczyszczeniu. Ileż godzin strawił na wycieraniu ich, wysmarowaniu tłuszczem, rozebraniu i opatrzeniu całego mechanizmu, zatyczki, zamka, śruby. I obecnie działka te miały tak lśniącą powierzchowność, jak gdyby znajdowały się na pokładzie fregaty należącej do marynarki Stanów Zjednoczonych.

Tegoż samego więc dnia, w obecności całego składu osady, z Jowem i Topem włącznie, sprobowano kolejno wszystkich czterech armatek. Nabito je bawełną strzelniczą, biorąc w rachubę jej siłę wybuchu, która jak to już wspomnieliśmy, jest cztery razy większą od siły zwyczajnego prochu. Pocisk przeznaczony do próby był walcowato - stożkowy.

Pencroff trzymając w ręku sznur komunikujący z podpałką stał w pogotowiu do dania ognia.

Na znak dany przez Cyrusa Smitha zagrzmiał wystrzał, kula skierowana na morze, przeszła po nad wysepką i przepadła w falach w odległości, której zresztą ściśle nie podobna było ocenić.

Drugą armatę wycelowano do najdalszych skał przylądku Rozbitków, a kula z niej uderzywszy w ostry głaz, w odległości blisko trzech mil od Granitowego pałacu, roztrzaskała go na części.

Armatę tę Harbert wycelował i dał z niej ognia, to też dumny był z tej pierwszej a tak pomyślnej próby swego oka. Pencroff chyba tylko był od niego z tego dumniejszy! Taki świetny strzał, i cały ztąd zaszczyt spływał na jego ukochane dziecię.

Trzeci pocisk, puszczony na ten raz ku ławom prosto, tworzącym wyższe wybrzeże zatoki Unji, uderzył w piasek w odległości co najmniej mil czterech; a potem odbiwszy się, przepadł w morzu pośród obłoku piany.

Gdy przyszła kolej na czwarte działo, Cyrus Smith przesadził nieco nabój, ażeby wymiarkować najwyższą doniosłość broni. Poczem, skoro wszyscy usunęli się na bok na przypadek pęknięcia działa, zapalono na panewce za pośrednictwem długiego sznura.

Gwałtowny huk dał się słyszeć, ale działo nie pękło, i osadnicy, rzuciwszy się do okna, mogli widzieć kulę obtrącającą skały przylądka Szczęk, w odległości blisko pięciomilowej od Pałacu Granitowego i ginącą w zatoce Rekina.

— A cóż, panie Cyrus — zawołał Pencroff, którego rozgłośne hurra! mogły rywalizować z hukiem wystrzałów — no, co pan powiesz o naszej baterji. Niech się tu pokażą przed Granitowym pałacem wszyscy korsarze Oceanu. Nikt teraz nie zdoła wylądować bez naszego pozwolenia.

— Wierzaj mi Pencroffie — odrzekł inżynier — lepiej będzie nie przekonywać się o tem.

— Ale! ale — ciągnął dalej marynarz — z sześcioma łotrami, którzy się włóczą po wyspie, cóż zrobimy? Pozwolimyż im przebiegać bezkarnie nasze lasy, nasze pola, nasze łąki? Tożto prawdziwe jaguary, ci zbóje, i sądzę, że powinniśmy bez wahania obejść się z nimi, jak z takim gatunkiem bestyj? Cóż myślisz o tem, Ayrtonie? — dodał Pencroff obracając się do swego towarzysza.

Ayrton zawahał się przez chwilę z odpowiedzią — a Cyrusowi Smithowi żal się zrobiło, że Pencroff przez rozstrzepanie zwrócił się z taką kwestją do Ayrtona. Mocno go więc wzruszyło, gdy Ayrton odrzekł pokornym tonem.

— I ja byłem jednym z tych jaguarów, panie Pencroff, nie mam więc w tej mierze głosu....

I oddalił się powolnym krokiem.

Pencroff teraz dopiero pojął swoją winę.

— A co za piekielne bydlę ze mnie! — wykrzyknął — Biedny Ayrton. On nie ma głosu tutaj!... Ma go tyle, co ktokolwiek bądź z nas najlepszy!...

— Niewątpliwie — rzekł Gedeon Spilett — ale pokora ta zaszczyt mu przynosi, i godzi się uszanować żywe w nim jeszcze uczucie smutnej jego przeszłości.

— Zrozumiałem, panie Spilett — odpowiedział marynarz — i nikt mnie już na takim bąku nie złapie! Wolałbym połknąć własny język, aniżeli sprawić najmniejsze zmartwienie Ayrtonowi. Wróćmy jednak do przedmiotu. Myślę, że ci zbóje nie mają prawa do jakiegokolwiek miłosierdzia, i że należałoby od nich co prędzej uwolnić wyspę...

— Czy to ostateczne zdanie twoje, Pencroffie? — spytał inżynier.

— Najostateczniejsze.

— I przed rozpoczęciem bezwzględnego ich prześladowania, nie czekałbyś na jaki nowy objaw wrogiego ich dla nas usposobienia?

— Jakto? więc dotychczasowe ich figle nie wystarczą — spytał Pencroff nie pojmujący tych wszystkich wahań.

— Mogą przecież przejąć się lepszemi chęciami, uczuć skruchę — rzekł Cyrus Smith!

— Uczuć skruchę? Oni! — zawołał marynarz wzruszając ramionami.

— Pencroffie, wspomnij na Ayrtona — zawołał Harbert, biorąc marynarza za rękę. Nie stałże się znowu uczciwym człowiekiem?

Pencroff popatrzył się z kolei po wszystkich towarzyszach. Nigdyby mu do głowy nawet nie przyszło, że propozycja jego wyzwie jakieś wahanie. Prosta jego natura nie zdolna była nawet przypuścić jakichkolwiek kompromisów z łotrami, którzy wylądowali na wyspę, ze wspólnikami Boba Harveya, mordercami osady brygu Speedy! Zapatrywał się na nich, jak na dzikie bestje, które wytępić należało bez wahania się i wyrzutu.

— Hę? — rzekł. — Co to znaczy? Mam wszystkich przeciwko sobie. Chcecie się bawić we wspaniałomyślność z tymi nędznikami? No, niech i tak będzie. Ale bogdajbyśmy tego nigdy nie pożałowali!

— Jakież niebezpieczeństwo grozić nam może — spytał Harbert — jeżeli mieć się będziem na ostrożności?

— Hm! — ozwał się korespondent, nie wypowiadający widocznie w tej mierze ostatecznego zdania. — Jest ich sześciu i dobrze zbrojnych. Niech tylko każdy z nich zaczai się w innym kącie i strzeli do jednego z nas, a w krótkim czasie staną się panami osady.

— Dla czego tego nie zrobili dotąd? — odparł Harbert. — Bezwątpienia dla tego, że nie było to w ich interesie. Zresztą nas jest sześciu.

— No! no! dobrze — odciął Pencroff — nie mogący się poddać żadnemu rozumowaniu. Zostawmy tych poczciwców przy ich maleńkich zajęciach i nie myślmy już więcej o nich.

— No! no, Pencroffie — rzekł Nab — nie udawaj tak złośliwego człowieka! Gdyby jeden z tych nieszczęśliwych stał tu przed tobą na dobrą odległość strzału, nie strzeliłbyś do niego pewnie?

— Wypaliłbym jak do psa wściekłego, Nabie — odrzekł zimno Pencroff.

— Pencroffie — ozwał się inżynier — okazywałeś nieraz wiele względu na moje zdanie. Czy nie chciałbyś i w tej okoliczności zdać się na mnie?

— Zrobię co się panu podoba, panie Smith — odrzekł marynarz, bynajmniej nie przekonany.

— A więc czekajmy i nie uderzajmy, dopokąd na nas nie uderzą.

Taka zapadła uchwała co do sposobu postępowania z korsarzami, pomimo, że Pencroff nic ztąd dobrego nie wróżył. Postanowiono nie atakować ich, ale mieć się na ostrożności. Koniec końców wyspa była wielka i żyzna. Jeżeli jakie źdźbło uczciwości zostało na dnie duszy tych nędzników, zdarzała im się sposobność do poprawy. Czyż to nie było ich interesem dobrze zrozumianym, w tych nowych warunkach zacząć nowe życie? Tak, czy owak, choćby przez uczucie ludzkości tylko, należało poczekać. Wprawdzie tym sposobem osadnicy nie będą mieli tej samej co dawniej swobody kręcenia się tu i owdzie bez nieufności. Dotychczas potrzebowali tylko mieć się na baczności przed bestjami leśnemi, a teraz oto sześciu kajdaniarzy i to najgorszego może gatunku, włóczy się po wyspie. Była to sprawa nie mała niewątpliwie, i dla ludzi mniej odważnych zagrażająca zupełną utratą spokoju. Mniejsza oto wszystko! W danej chwili osadnicy mieli słuszność za sobą — wbrew Pencroffowi. Czy będą ją mieć i w przyszłości? To się pokaże. (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(Poezje Marji B. Lwów, nakładem księgarni Wł. Bełzy. — Z lat ubiegłych, poezje Edmunda Ł. Lwów. Gubrynowicz i Schmidt. — Piosnki J. P. Beranger'a, przełożył M. Radoć. Kraków 1876.)

Bogata nie dawno temu niwa poezji naszej przedstawia obecnie melancholiczny widok ścierniska: złote zboże zżęto, gdzie niegdzie tylko uśmiecha się do słońca zapomniany kłos lub bukiet polnych kwiatków. Tak jest, teraźniejsi poeci, to nie ochoczy żniwiarze, zapuszczający śmiałą ręką sierp w gęste plony — to smutni biedacy zbierający pokłosie. Nadużywano porównania ducha narodu do gleby, która wydawszy świetne plony, musi jakiś czas leżyć odłogiem, ażeby nabrać sił do wytworzenia nowych. Porównanie to zawiera w sobie prawdę, a nowoczesna nasza literatura poetyczna potwierdza je w zupełności. Genjusz naszej poezji wydawszy w tym wieku tylu potężnych pieśniarzy obecnie może wykazać tylko małą liczbę wierszopisów, z których na imię poetów nie wielu zasługuje. Po większej części władają oni formą bardzo dobrze, niektórzy nawet znakomicie, ale to też jedyną prawie jest ich zaletą. Głębszego uczucia, zdrowej a pięknej myśli, z Djogonesową latarką szukać między wierszami, któremi zapełniają kolumny dzienników literackich. Nie można się też dziwić, że publiczność przyzwyczajona do znakomitych lutni pieśniarzy ubiegłej epoki z niedowierzaniem, a częstokroć z uśmiechem politowania słucha katarynkowych produkcyj młodych wieszczyków, nie można się dziwić skeptycznym zapatrywaniom, które zyskują coraz szersze koło zwolenników, że czas poezji jeżeli nie przeminął zupełnie, to przynajmniej potrzeba niwę tej najwyższej ze sztuk pozostawić na długi czas odłogiem. Zdanie to jest stronniczem, przesadnem i dla tego nieprawdziwem. Ideały były i są, serca ludzkie istnieją, ludzie potrzebują wywnętrzać się ze swemi uczuciami — dla tego też poezja trwać będzie, dopóki istnieć będzie rodzaj ludzki i dopóki nie zapomni, że jest stworzony na obraz i podobieństwo Boga. Czasowy brak wybitnych talentów może sprowadzić chwilowy upadek literatury poetycznej, ale nigdy nie spowoduje jej zupełnego upadku, zawsze bowiem będą mniejsze lub większe talenty, którym serce nakazuje spiewać i uprzyjemniać ludziom jałowe życie.

Tych kilka słów uważaliśmy za konieczne, raz ze względa na wywołaną w tym przedmiocie polemikę, która dość długo trapiła nasze pisma, a powtóre ponieważ chcąc mówić o młodej poetce p. Marji B., uważaliśmy za potrzebne w kilku słowach dać pogląd na obecny stan naszej poezji. Pisarza, a szczególniej poetę, wtedy tylko dobrze osądzić można, jeżeli się zna warunki, wśród których rozwijała się jego działalność.

Powszechnie i słusznie uskarżali się poeci na brak uznania: niejeden wielki mistrz słowa przez całe życie był mało znanym przez publiczność, pomiatanym przez stronniczą krytykę, i dopiero po śmierci, często w kilka dopiero wieków, potomność oddawała mu hołdy należne. Obecnie skarga taka jest nieuzasadnioną: w skutek wszechstronnie rozbudzonego ruchu umysłowego, a szczególnie przez wpływ dziennikarstwa, publiczność pod tym względem stała się wcale sumienną — prawdziwy talent znachodzi rychle, i kto wie, czy nie za rychłe uznanie. Najlepszy tego dowód mamy na p. Marji B. Karjera jej literacka jest bardzo świeżej daty: dwa lata temu poczęła umieszczać poezje w „Dzienniku mód“, a następnie przeważnie w „Tygodniu“. Po pierwszym zaraz debiucie obudziła powszechne zajęcie, a obecnie rozlega się dla niej jednozgodny chór pochwał. A nie stało się to przez sztuczne reklamy — talent mówił za nią.

Główną zaletą poezji p. Marji B. jest niekłamane, proste i szczere uczucie i prześliczna forma. Każdy, kto przeczyta choćby najmniejszej jej wierszyk, jest przekonanym, że to co pisze, to czuje. Jeżeli nas kto zapyta, poczem się takie uczucie poznaje, odpowiemy mu, że na to nie ma recept. Niech mi chemik zrobi świeży woniejący jaśmin lub konwalję! Talent p. Marji B. jest wyłącznie lirycznym. Nieokreślona jakaś tęsknota, dziewicza zaduma, miłość Boga, ludzi, polnych kwiatków, i tych krzyży, co wyciągają smutne ramiona na grobach — oto zdrój, z którego nasza poetka czerpie materjał i natchnienie do swoich ulotnych wierszyków. Nie wielki to zakres, nie wielkie bogactwo tematów, tematy te nie są nowe i niejednokrotnie przez znakomitych poetów opiewane — wszystko to prawda, a jednak pióro p. Marji B. potrafi im nadać coś nowego, oryginalnego, a przytem lubego i wzruszającego do głębi. Wypływa to z prawdziwego natchnienia, po części jednak jest wynikiem ślicznej formy, którą p. M. B. czytelnika porywa, unosi i nie dozwala mu w pierwszej chwili nawet pomyśleć, że już coś kiedyś podobnego czytał. Powiedzieliśmy wyżej, że nowsi nasi poeci prawie wszyscy władają dobrze formą, ale z pomiędzy wszystkich musimy pod tym względem p. M. B. oddać pierwszeństwo. Wiersz jej płynie lekko, gładko, nie widać w nim że się nad nim mozolono, nie ma w nim niepotrzebnych przestawień wyrazów, a rytm i rym są prawdziwie piękną muzyką. Zalety te tworzy język prosty, jasny — jak zdroje dniestrowej wody, którą tak pięknie opisała p. M. B. w swojej „Przejażdżce Dniestrem“. Porównania, które są tem dla poezji, czem woń dla kwiatów, są u niej nieliczne, ale za to jeżeli gdzie jakich używa, po większej części są nowe, szczęśliwie, dobrane i przeprowadzone konsekwentnie.

Szczupły zasób uczuć które wymieniliśmy powyżej, nie dozwala p. M. B. wznieść się do najwyższych dziedzin liryki, do ody. Wiersze jej są to tylko same pieśni i elegje. Talent jej to nie śmiały orzeł bujający po nad chmurami, to szary słowik śpiewający gdzieś wśród ciemnej zieleni, ale wydobywający takie tony, że człowiek musi ich słuchać całemi godzinami nieruchomie.

Utwory pomieszczone w tomie „Poezyj“ o którym mówimy, znane są prawie wszystkie czytelnikom „Tygodnia“, w którym były umieszczane. Nie wszystkie są jednakiej wartości: obok ślicznych wierszy jak „Aktorka“ „Przejażdzka Dniestrem“, „Myśli przedślubne“ itd., znajdują się słabsze tak pod względem polotu poetycznego, jak i formy — wszystkie jednak noszą na sobie cechę prawdziwego, niepośledniego talentu. Niektóre, jak n. p. wyż wymienione utwory są prawdziwemi arcydziełami, do których pierwsi nasi lirycy z chęciąby się przyznali. Najlepiej udały się p. M. B. te wiersze, w których własne uczucia wypowiada przez drugą osobę — w innych, gdzie poetka sama wprost przemawia, mają po większej części ton płaczliwy, przechodzący częstokroć w monotonność. Niektóre z tych ostatnich robią na czytelniku wrażenie kwilącego dziecka, które rozwodzi płacze nad jakąś utraconą błachostką. Poetka czuła słabą tę stronę i usiłowała ją wytłumaczyć mottem z Zalewskiego, umieszczonym na czele zbiorku:

Kochający musi szlochać
Wszelka miłość — to bezedno
Pełne łez!... Bo żyć i kochać,
Żyć i płakać wszystko jedno.

Jedyny umieszczony w tym zbiorze poemat epicki „Opryszek“ jest mimo wielu pięknych ustępów kreacją zupełnie chybioną. Sam bohater jest ckliwy i nudny, a cały poemat owiany nienaturalnym sentymentalizmem. Poezja epicka wymaga oprócz natchnienia, także znajomości ludzi, których opisujemy i refleksji. Tych ostatnich warunków p. M. B. nie posiada. Dla tego też niech nam wybaczy, jeżeli bez ogródek powiemy, że talent jej nie jest odpowiednim do tego rodzaju poezji. Lira — oto instrument, z którego wydobywa cudowne tony — bardon epicki pod jej dotknięciem wydaje tylko niesforne dźwięki.

Drugim z kolei wierszopisem, o którym nam pomówić wypada, jest p. Edmund Ł., autor wydanego zeszłego roku tomiku pcezyj p. t. „Z lat ubiegłych“. Główną cechą charakterystyczną i dodatnią tych poezyj, jest czyste, gorące uczucie patrjotyczne, tryskające żywym płomieniem z każdego utworu. P. Ł. zna tylko jeden temat do opiewania — Polskę — jej niewolę — i boje jej synów, ułańskie lance, smutne mury więzienia i gorzki chleb tułactwa. O tonie tych poezyj poucza nas dedykacja autora, który swój zbiorek poświęcił „towarzyszom lat młodzieńczych, towarzyszom broni i towarzyszom więzienia“. W utworach p. Ł. widać, że je pisał dawny żołnierz, który śmiało spozierał w oczy wrogom, pisał je bez pretensji, szczerze, bo mu serce tak kazało. Forma w nich jędrna, choć nie zawsze poprawna, i nie wolna od częstych trywialności. Talent p. Ł. nie jest pierwszorzędnym a tem mniej oryginalnym; pod względem formy naśladuje on kogo się zdarzy, raz Zalewskiego, to znów Pola. Mimo to niektóre jego wierszyki, szczególniej dla pięknej tendencji pozwolimy sobie postawić obok najlepszych utworów młodszych naszych poetów. Żeby nie mówić bez dowodów, a zarazem obznajomić czytelnika bliżej z lutnią p. Ł, przytaczamy ustęp z wiersza „W więzieniu:“

Co po smutku, utrapieniu?
Mąż co siłę ma w cierpieniu,
Nie okaże na swej twarzy,
Co się z serca w myślach waży —
Więc w złej doli — gdy cię boli —
To się bracie śmiej!

Umartwienie — to chleb księdza,
Bo mu cnotą życia nędza,
A modlitwą pacierz cichy —
Czas potemu mają mnichy.
Niech więc w wierze — swe pacierze
Szepce mniszy głos!

My nie mnichy! — nasza cnota
W przędzy życie — ta nić złota,
Ciągłej pracy, poświęcenia,
Dla ojczyzny wybawienia —
A modlitwy — to wśród bitwy
Umieć przelać krew!

Gdy cel inny — więc być winne
Od mniszego życia inne,
A więc raźno i ochoczo,
Niech wesoło pieśni toczą
Nim na błoni — z lancą w dłoni
Znów pójdziemy w tan!

Z tego ustępu poznajemy cechę wszystkich poezyj p. Ł. Są one mimo swoich niedostatków wobec zimna dla sprawy narodowej w społeczeństwie, prawdziwie pociągającym objawem. Tak jak wszystkie strony dodatnie poezyj p. Ł. uwydatniają się w wyż przytoczonym ustępie, tak samo i wady. P. Ł. czuje głęboko, ale to co czuje, nie umie ubrać w artystyczną szatę. Wierszem włada bardzo słabo. w skutek czego rymy jego są po większej części kantyczkowe i rytm nie utrzymany należycie. Niektóre strofki wydają się rymowaną prozą — poważną, szczerą, szlachetną, ale zawsze prozą. Błędów tych pozbyć się może początkujący pisarz, jakim jest p. Ł., przez dokładne wczytanie się w dzieła naszych poetów. Forma w poezji nie jest wprawdzie główną jej częścią, ale zawsze jedną z najgłówniejszych: piękna myśl wtedy tylko zrobi prawdziwe wrażenie, jeżeli jest wypowiedzianą w pięknej formie. Wszystkie sztuki tego wymagają. a więc i poezja. Cóż znaczy najlepsza kompozycja malarska, jeżeli jest błędnie narysowaną? W zbiorze poezyj p. Ł. znajdujemy dłuższy epicki poemacik „Z powstańczych dziejów“, w którym zdradza autor daleko większy talent do poezji opisowej, aniżeli do liryki. „Z ubiegłych dni“ uważamy jako debiut autora, i z ciekawością oczekujemy nowych prac jego, które spodziewamy się, że pod względem tendencji będą takie same, a lepsze pod względem formy.

Na zakończanie naszego przeglądu wspomnieć nam wypada o przekładzie „Piosnek“ (Chansons) Beranżera, dokonanym przez M. Rodocia. Beranżer, ów najpopularniejszy i najbardziej odźwierciadlający w sobie ducha francuskiego ludu poeta, doczekał się u nas kilku wcale udatnych tłumaczeń, między któremi na pierwszem miejscu położyć musimy przekłady dokonane przez Wł. Syrokomlę i Korotyńskiego. Wyjątkowe jednak nasze położenie polityczne było przyczyną, że wybierano do tłumaczeń po większej części piosnki blade. najmniej charakteryzujące lutnię Beranżera. Beranżer, szczery republikanin i człowiek wolnomyślny, w jaskrawych barwach maluje w swoich piosnkach ohydę tyranji świeckiej i duchownej i obrzuca szyderstwem to wszystko, co rzeczywiście jest obrzydliwem i śmiesznem, czy to blask korony czy pastorału pokryć usiłuje. Świecka i duchowna hierarchia wyzyskująca wszędzie lud pod różnorodniejszymi pozorami, z drugiej strony głupota i podłość wyzyskiwanych, oto przedmioty, które Beranger chłoszcze lękką, ale dotkliwą satyrą. P. Rodoć obrał sobie do przekładu właśnie najdobitniejsze piosnki, i przekładu dokonał wzorowo, starając się o ile możności zachować nie tylko rytm i rym, ale i wyrażenia oryginału. W skutek tej skrupularności zmuszony był tłumacz nieraz poświęcić formę dla treści, uchybia więc niekiedy rytmowi, a rymów u niego wielkie ubóstwo. Wybaczy mu to jednak czytelnik, jeżeli zważy, że musiał używać prawie wszędzie wierszów krótkich, któremi w naszej mowie włada się bardzo ciężko. Nie możemy tylko jednego pojąć, dla czego wszędzie zamiast wyrazu „Francja“ położył „Polska?“ Czy może z patrjotyzmu? Usterki te jednak, które wytknęliśmy, nie są tak ciężkiej natury, aby z nich robić wielki zarzut tłumaczowi. Przekładem swoim przysłużył on się dobrze i na czasie naszej literaturze, a każdy nieznający języka francuskiego, przeczytawszy „Piosnki“ Beranżera, tłumaczenia p. Rodocia, będzie mógł śmiało powiedzieć, że zna francuskiego piosenkarza.

Bolesław Cz.

(Ciąg dalszy.)

(Uwagi do str. 695—734 polskiego tłumaczenia geografii Guthego. Warszawa. Nakład Maurycego Orgelbrandta 1875.)

Str. 725 w. 33 do końca, str. 726 w. 1—8 i w. 21 do końca, str. 727 całą prócz w. 18—20, potem 30 i 31, str. 728 całą, str. 729 całą prócz w. 25 i 26, str. 730, 731 i 732 całe, str. 733 całą prócz w. 7, wreszcie str. 734 od początku po w. 20 są wiernem powtórzeniem tekstu Tatomirowego str. 43 w. 32 do końca, str. 44 w. 1—5, str. 45 w. 11 do końca, str. 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52, 53 i 54 po w. 3. Zmiany, którym uległ tekst Tatomirowy tych 9 stronic przy temto przesiedleniu do geografji Guthego, są następujące. Str. 727 w. 1 i 3 opuszczono kilka dopływów Warty wymienionych u Tat. (45, 34 do 37), powtórzono jednak wiernie rażący błąd drukarski: „największą z rzek uchodzących do Noteci,“ coby się odnosiło do Glumina, a być powinno (po kropce): „Największa z rzek uchodzących do Noteci jest Glda i Drawa.“ Zmieniwszy dalej w w. 18—20 napis u Tat. 45, 18 „Główne rzeki stoku czarnomorskiego“ w zdanie, opuszczono w w. 30 z Tat. 45, 29—31 o chyżości prądu Dnieprowego na górnym i dolnym biegu, włożywszy w to miejsce innej treści zdanie (o rozległości systemu wodnego Dniepru); w. 36 położono „nizkiej (wody)“ zam. „większej“ (Tat. 47, i), czem popełniono niedorzeczność. — Str. 729 w. 25 opuszczono 2 wiersze (Tat. 48, 34 i 35), zaś w. 27 geogr. położenie źródłowisk Prypeci (Tat. 49, 2). Str. 731 w. 1 dodano „Jużnyj Bug;“ w w. 6 opuszczono geograficzne położenie ujścia Dniepru (Tat. 50, 4), a dalej jeszcze jeden wiersz (Tat. 50, 21). — Str. 732 w. 36 opuszczono Dniestrowe rafy skalne (znaczniejsze Tat. 52, 2—6); w. 38 do miast położonych nad Dniestrem dodano Akerman. Str. 733 w. 1 i 3 opuszczono kilka dopływów Dniestrowych, nawet znaczniejsze, np. Łomnicę, Bystrzyce sołotwińską i nadworniańską i Złotą Lipę, jakkolwiekby rozpatrzenie się na obszerniejszej i dokładniejszej mapie wskazała, co w przypadku potrzebnego lub niezbędnego skrócenia zostawić należy, co pominąć można; mimo to powtórzono z Tatomira szczegóły o Łomnicy i Bystrzycy nadworniańskiej; również opuszczono wszystkie dopływy stepowe Dniestru z lewego brzegu (Tat. 52, 18—21). Str. 734 w. 1 i 15 powtórzywszy błędy drukarskie „Pasieczy“ (Tat. 53, 16) zam. Pasieczny i „Czerniowic“ (Tat. 53, 31) zam. Czerniowiec, opuszczono jednowierszowe zdanie (Tat. 53, 16), a w w. 2 dodano „dorzecza baltyckiego i czarnomorskiego.“

Zmiany zatem, których doznał tekst Geografji ogólnej Tatomira przy przeniesieniu do tłumaczenia geografji Guthego, jak to z poprzedzającego szczegółowego porównania widać, ograniczają się bądź do zastąpienia wyrazu jakiego innym, bądź do opuszczenia jednego lub kilku wyrazów, a czasem całego zdania. Zmiany pojedynczych wyrazów są czasem rzeczywistą poprawką językową; w kilku wypadkach są one skutkiem nierozumienia właściwego znaczenia wyrazu użytego w Geografji ogólnej Tatomira zgodnie z Polem; przypominam wyrazy „pochyły“ zam. „połogi“ i „tarasowaty“ zam. „upłazisty.“ Taka zmiana zmienia myśl. W kilku miejscach temi zmianami i poprawami popełniono istotne błędy, gdy np. zamiast „Fatry“ położono „Tatry,“ albo „nizkiej“ zamiast „większej (wody),“ jakby przy niższym stanie wody przebycie progów Dnieprowych, a w ogóle jakichbądź innych tego rodzaju przeszkód, łatwiejszem było aniżeli przy wodzie większej. W kilku miejscach zmianę wyrazu nakazywały względy drukarskie i cenzury. Co do opuszczeń, spodziewaćby się należało, że opuszczono rzeczy mniejszej wagi, że postępowano jednostajnie i w ogóle trzymano się jakiejś zasady. Tymczasem tak nie jest; między źródłami naftowemi wraz z pomniejszemi opuszczono też najznakomitsze, np. Borysław; opuszczono wszystkie dopływy Sanu, wymieniając (za Tatomirem) dopływy Wisłoki mniejsze i mniej ważne od tamtych; opuściwszy przy wyliczeniu dopływów Dniestru kilka znaczniejszych, n. p. Łomnicę i dwie Bystrzyce, sołotwińską i nadworniańską, podano mimo to szczegóły dotyczące się Łomnicy i Bystrzycy nadworniańskiej; podawszy w przypisku po imieniu wszystkie progi Dnieprowe, opuszczono rafy Dniestrowe, z pomiędzy których najznaczniejsze podał Tatomir; opuszczając położenie geograficzne źródłowisk lub ujścia jednej rzeki, jej szerokość lub jaki inny szczegół, zatrzymano go u innej; tak np. podawszy dług. geogr. ujścia Nogatu, opuszczono ją przy Leniwce; podawszy położenie geogr. źródłowisk i ujść Wisły, Warty, Dniestru, Dniepru, opuszczono je przy Bohu; opuściwszy geogr. położenie źródłowisk Prypeci, podano geogr. położenie ujścia. Że tak skracając, przy słabej znajomości przedmiotu zabawne popisać może rzeczy, widzieliśmy wyżej, gdzie szanowny tłumacz Guthego, opuściwszy kilka wyrazów, pasma karpackie na wschód od Nowotarszczyzny umieścił między ścianami Pienin.

W jakikolwiek zresztą sposób szanowni tłumacze Guthego uznali za dobre korzystać z prac Tatomira, spodziewać się należało przynajmniej sprostowania pomyłek, gdyby jakie znaleziono w używanem źródle. W przedmowie oświadczył wprawdzie wydawca, że „p. Witold Wróblewski licznemi przypisami doprowadził wiadomości geograficzne do ostatniej chwili według najnowszych sprawozdań i pism geograficznych.“ Że w kilku miejscach poprawiono wysłowienie źródła, namieniłem powtórnie i w dotyczących miejscach wykazałem. Szkoda, że w kilku innych miejscach poprawka jest usterkiem; w innych wreszcie pozostawiono błędy użytego źródła, np. str. 700 w. 11 (Tat. 5 w. ostatni) „(dolina) liptowska, którą przepływa rzeka Waga“ zam. przez którą płynie Wag; tak samo 725, 27 (Tat. 43, 8) „(Biebrza) przepływać rozległe bagna;“ 728, 26 (Tat. 47 w. ostatni): „Małe statki mogą je (progi) przepływac“ zam. przebyć; 700, 15 (Tat. 6, 5) „wyłom górski łączący się z doliną Popradu pod Landok“ zam. pod Lendakiem; 721, 17 (Tat. 38, 21) „pominąwszy“ zam. minąwszy; toż samo 721, 35 i 722, 19 (Tat. 39, 5 i 35); 724, 4 (Tat. 41, 28) „w dolinie Kościelisko“ zam. Kościeliskiej, „w dolinie Zakopana“ zam. zakopiańskiej. Pozostawiono także błędy innego rodzaju, np. 705, 3 (Tat. 10, 19) „ku zachodowi“ zam. ku wschodowi; 720, 27 (Tat. 33, 2) „Zbaszyn“ zam. Zbąszyn; 734, 1 (Tat. 53, 16) „Pasieczy“ zam. Pasieczny, 734, 14 (Tat. 53, 31) „Czerniowic“ zam. Czerniowiec itp. Również nie należało pisać „hole, hola (Weterne hole, Liptowskie hole, Kralowa hola, str. 701 i 702 przyp.) zam. hale, hala, jak położono na str. 703 w wierszu ostatnim, bo aczkolwiek lud mówi „gornek, śklonka“ itd., nikt przecież tak nie pisze. Nie naśladując zatem wymowy ludowej, zatrzymać należy wyrazy i odmiany ich w mowie ludowej używane. Lud nie mówi „do Tatrów, Pioniny, Szczawnica, do Szczawnicy, Miodziuś, Maniów, do Maniowa, ani Maniowa, do Maniowy, Zakopana, do Zakopanej,“ lecz „do Tatr, Pieniny, Szczawnice, do Szczawnic, Miedziuś, Maniowy, do Maniów, Zakopane, do Zakopanego“, i tak też pisać należy. Tych i tym podobnych błędów. powstałych już to z nieprzysłuchania się mowie ludu, już też z niedosłyszenia czy z lenistwa w myśleniu i zastanawianiu się, poniekąd z przywidzeń gramatycznych i etymologicznych, tem staranniej unikaćby należało, iż one wprawdzie nie w mowie ludu, albo tutaj przynajmniej najpóźniej, lecz w pismach przy częstem bezmyślnem odpi-

sywanin rzeczy geograficznych zwolna ustalają się. Pioniny np. nie od stromości czyli przywidzianej pionowości, wyrazu ludowi zupełnie obcego, imię swe wzięły, lecz nazwy tej prawdopodobny źródłosłów będzie p e n (p e n n), znaczący w języku kimrobrytańskim to samo, co łacińskie *caput*, głowa, także wierzchołek, szczyt góry [1]).

Co do Szczawnic, w lustracjach i dokumentach dawniejszych prawie zawsze napotykają się formy Szczawnice, z Szczawnic. Tak np. w lustracji z r. 1764 zapisano „Szczawnice wyżnie i niżnie,“ a 1670 r. Michał król zatwierdza Stanisława Milowskiego, „wybrańca lub sołtysa wsi Szczawnic,“ na tem sołtystwie [2]). Miodziuś, kilka domków między czyli jak dawniej mówiono „miedzy“ Szczawnicami wyżniemi i niżniemi, zwie się u ludu „Miedziusiem“, a dawniej zwał się jeszcze wyraźniej „Miedzywsiem.“ „Item na Miedzywsiu jest także rola Musołowska [3]).“ Dla ludzi nie chodzących za obcą sprawą w własnych butach, owszem utrzymujących, że nawet za własną sprawą korzystniej w obcych chodzić butach, nietylko Szczawnice, ale i Miedziuś stały się Miodziusiami; dla ludu żadnego tu dawniej nie było miodu, a i dziś go tam nie wiele. Na str. 702 przyp. użyto także błędnej formy przymiotnikowej „Liptawskie“ (zamiast i obok poprawnej „Liptowskie“ str. 701 przyp.), Liptowem bowiem, a nie Liptawem ani Liptawą (z niemieckiego Liptau) zwie się ta część Węgier (komitat czyli jak Słowacy węgierscy mówią, stolica).

Co do samej treści, na przejrzanych kilkudziesięciu stronicach spostrzegłem, co następuje. Str. 700 w. 13 (Tat. 6 w. 3): „Od zachodu tworzy granicę Tatrów (poprawniej Tatr) poprzeczna dolina uchodzącej do Wagi (Wagu) Tepli.“ Gdyby tak było istotnie, pasmo Tatr kończyłoby się na zachodzie Ostrym Wierchem i Hawranikiem, a Chocze, wielki (1612 m.) i mały (1230·5 m.), i Magurska turańska (1078·8 m.), wznoszące się za zachód od Tepli nie należałaby już do Tatr. Tymczasem Chocze zawsze liczono do Tatr [4]) i o to rozchodziłoby się jedynie, czy Szyp-Hrdoszyńską dzielnicę górską [5]), położoną na zachód od Choczów czyli od dwumilowej przecznicy międzygórskiej, ciągnącej się od Wagu pod Rozembergiem wzdłuż potoku Dubowskiego przez św. Marcin, Likawkę, Dubowę wałaską, Jesieniowę, Górny i Dolny Kubin do rzeki Orawy, a od północnego i południowego zachodu odciętą dolinami Orawy i Wagu od sąsiednich pasm górskich, zaliczyć jeszcze do Tatr czy nie [6]). Do rozwiązania takich pytań i trudności własności geologiczne sąsiadujących z sobą gniazd i pasm górskich nie zawsze wystarczają; rozstrzyga je częstokroć w sposób najłatwiejszy, najmniej sztuczny a najzgodniejszy z naturą przedmiotu zbadanie własności hidrograficznych, dolin międzygórskich i najniższych wcięć w grzbietach [7]).

[1]) Por. Lor. Diefenbach, Origines europeae. Frankft a. M. 1861. Str. 396.

[2]) Oblata w grodzie sądeckim fer. 5. post fest. s. Martini pont. prox. 1671.

[3]) Actum Crostini (w Krościenku) in iudicio necessario bannito die 14. Januarii anno Domini 1667.

[4]) Dionys Stur, Bericht über die geolog. Uebersichts-Aufnahme des Wassergebietes der Waag u. Neutra. Jahrbuch der geolog. Reichsanstalt. 1860. Wien. Str. 33.

[5]) Stur l. c.

[6]) Béla Majlath, Orographische Verhältnisse des Comitates Liptau. Jahrbuch des ungar. Karpathen-Vereins. 1875. Str. 265—267.

[7]) Por. Dra M. Nowickiego Kozica- Kraków, 1868. Str. 8 i następ.

Z tej strony rzeczy biorąc, dzielnicę Szyp-Hrdoszyńską do Tatr zaliczyć należy, jak to rzeczywiście już uczyniono [1]). Jeżeli zaś dolina Tepli ma być granicą zachodnią Tatr, to w przypisku na str. 701. Ba 2 nie należało jej posuwać aż do ujścia Orawy. Jedno i drugie nie zgadza się znowu z tem, co powiedziano na str. 703, 1—4 (Tat. 8, 1—3), gdzie „las turni“ zakończono na zachodzie sterczącą nad doliną Orawską Siwą Skałą i Magurą Orawską. Przypuszczam, że tu mowa o Tepli wpadającej do Wagu pod wsią tejże nazwy, o innej bowiem Tepli na Liptowie, coby wpadała do Wagu, nie wiem [2]).

Str. 700, 25 i 26 (Tat. 6, 15 i 16): „Dunajec (utworzył sobie wyłom) w grzbietach Beskidu poniżej Sącza, a Waga na ujściu Orawy przez Fatry.“ Wyłom Dunajcowy rozpoczyna się już między Czorsztynem a Niedzicą, Wag zaś nie jednym, lecz dwoma wyłomami toruje sobie drogę w kraj otwartszy do Dunaju; wyłomem na ujściu Orawy między Lubochną i Ratkowem przez Fatry, a raczej między Fatrami i dzielnicami Szyp-Hrdoszyńską od północnego wschodu a Małokryważńską [3]) od północnego zachodu, dostaje się Wag do międzygórskiej kotliny turczańskiej, wydobywając się z niej drugim wyłomem Streczeńskim do międzygórskiej doliny Żylińskiej. Str. 701, 3 (Tat. 6, 28). Zamiast dziwolążnego niemieckiego Schmeks (czy Schmeck's [4]) poradniej w języku polskim użyć nazwy „Szczawy sławkowskie [5]).“ Str. 701, 5 (Tat. 6, 30): „Dokąd (dopóki) Spiż należał do Polski, obejmowały jej granice całe właściwe Tatry i tylko zachodnia, niższa i węższa ich część, w książkowej terminologji zwana przedgórzem alpejskiej krainy Tatrów, leżała w Węgrzech.“ Co tu powiedziano o należeniu całych właściwych Tatr do Polski, jest, o ile wiem, ogólnikiem trudnym do udowodnienia. Według lustracji z r. 1764 starostwo spiskie obejmowało: a) Miasta i miasteczka Lubicę [6]), Nową Wieś [7]), Podegrodzie [8]), Włochy [9]), Białę [10]), Sobotę (spiską) [11]), Felkę [12]), Poprad [13]), Wierzbów [14]), Twarożnę [15]), Maciejowce [16]), Strażki [17]), Ruszkinowce [18]), Lubownię [19]), Gniazda [20]), Podoliniec [21]). b) Wsie Hobgart [22]), Nową Lubowlę, Jakubiczny, Kamionkę [23]) Jarzębinę, Litmanowę, Krępak wyżni [1]), Gronastów [2]), Krępak niżny i Pilchów, Kacze, Sulin, Drużbaki wyżnie i niżne [3]), Forbasy [4]) i Łackowę. c) Sołtystwa w Hobgarcie, Jakubianych, Kamionce, Jarzębinie, Litmanowie i Drużbakach niżnich. Prócz Wielkiej, od której nazwę wzięła dolina welicka [5]), i Biały inne z powyżej wymienionych osad, o ile wiem, nie miały posiadłości w Tatrach, nic też z Tatr węgierskich do Polski nie należało. Trudno dalej zgodzić się na wyraz „Tatry właściwe“, któreż bowiem będą „Tatry niewłaściwe?“ Coby też na to powiedzieli Podhalanie nasi, np. Zakopianie, gdyby im obwieszczono, że do nas czyli raczej do nich należąca część Tatr nie tworzy Tatr właściwych? Wiedzą oni dobrze i mówią o tem, że Tatry spiskie są wyższe od reszty, lecz o Tatrach właściwych, a zatem i niewłaściwych, nic nie wiedzą. Wreszcie co do „przedgórza alpejskiej krainy Tatrów,“ które ma obejmować część ich zachodnią, niższą i węższą, zdaje się mi, że u Tatomira rzecz wzięta z K o r i s t k i [6]), który hale liptowskie (orawsko-liptowskie) zwie zachodniem ramieniem czyli zachodniemi kończynami Tatr.

(C. d. n.)

Dr. E. Janota.

[1]) Koristka, Die Hohe Tatra in den Central - Karpathen. Gotha, 1864. Str. 5.

[2]) „Teplensis (fluvius), ex gemina valle, Kalamenensi hinc, Lucskensi illinc, derivatus rigatisque Madáschan et Tepla vicis Vago se insinuat.“ Mathias Bel, Notitia Hungariae novae. Tom. sec. Viennae, 1736. Pag. 531.

[3]) Stur l. c. 32.

[4]) Jahrb. des ungar. Karpathen - Vereins. 1875. Str. 297.

[5]) Schlagendorf, Sławków.

[6]) Leibitz.

[7]) Igló, Neudorf.

[8]) Podhradź. Varallya, Kirchdrauf.

[9]) Włachy, Właszki (Bel, Prodromus 111), Olasinum, Villa italica, Szepes-Olassi, Wallendorf.

[10]) Bela.

[11]) Mons s. Georgii, Szepes-Szombat. Jest także Sobota rzymawska (Rima-Szombat).

[12]) Poprawniej Velka, Wielka.

[13]) Deutschendorf.

[14]) Vrbov, Vrbovo (Bel Prodr. 110) Menhard, Menhardsdorf.

[15]) Durand, Durlsdorf, villa Durand.

[16]) Matzdorf, Matejócz.

[17]) Strażce (?), Michelsdorf.

[18]) Rissdorf, w lustracji Ruszkinowice.

[19]) Lublau.

[20]) Kniesen.

[21]) Pudlein.

[22]) Hobgarten; w lustr. Hogbart.

[23]) 1590 Kamieniem wieś ta się zwała.

[1]) Teraz Krompach.

[2]) Teraz Granastów.

[3]) Rauschenbach.

[4]) Forbasz (węg.)

[5]) Tak zwą ją Słowacy spiscy. W niektórych dziełach niemieckich można czytać V ö l k e r t a l. Risum teneatis.

[6]) Die Hohe Tatra. Str. 5, a 2.

Kronika paryska.

Paryż — Luty 1876 r.

Karnawał, to epoka szaleństw a hulanek wszędzie, na całym cywilizowanym świecie, nieprawdaż? Naród francuski w ciągu wieków zarobioną wesołości cieszy się reputacją — wszak zgoda? Otóż na podstawie tych dwóch ogólnie uznanych aksiomatów, nader przypuszczalny trzeci budując problemat, myślałby ktoś, że karnawał w Paryżu, w stolicy trzpiotowatego *par excellence* narodu, szumi rozgłośniej niż gdzieindziej, iż jakąś wyjątkową, specjalną, w pustotach a zabawach odznacza się werwą. Dedukcja zawodzi! Nie masz tu zapust, w ścisłem znaczeniu przywiązywanem do słowa tego w innych krajach, naprzykład u nas, lub jeśli wolicie są one, ale ciągną się przez rok cały, od Nowego roku do św. Sylwestra. Zabaw atoli poprzedzających Popielec jak gdzieindziej, przez ciąg czterech lub pięciu tygodni, a odznaczających się większym niż zwykle rozgwarem, my tu prawie nie mamy. Bale są zapewne, lecz kiedyż ich nie ma? Noszą tytuł „maskowych“, lecz dla tego chyba, iż maski i kostiumy na nich coraz większą stają się rzadkością. Przeciągają się do ranka, lecz to nie zmienia zwykłego trybu życia Francuzów, którzy noce na dzień ze szczerą zawsze przerabiając ochotą, objadują o 6tej, 7mej, nawet 8mej wieczorem, w teatrach siedzą do północy, i nigdy, chyba tylko w wyjątkowych jak choroba okolicznościach, przed 2gą ba nawet i 3cią z rana na spóźniony nie udają się spoczynek.

Naturalnym i koniecznym takiego stanu rzeczy wynikiem jest to, iż zabawa z niezwykłego, świątecznego, jakim jest gdzieindziej przysmaku, na powszednie w Paryżu przerobiona danie, połowę przynajmniej ze swego traci uroku, i jakieś wstrętne naturze swojej przybiera pozory rutyny. Nic posępniejszego, nic bardziej ponurego, jak te maskowe czy nie maskowe w Paryżu bale. Nikt z przyzwoitszej publiczności na nich nie tańczy. W czarne fraki przyodziani panowie, w czarne domina okutane panie, błądzą po „foyer“ lub po środkową salę otaczających korytarzach, szepcąc coś do siebie po cichu, jakby na

pogrzebie i ziewając nieraz ukradkiem. W sali, kilkaset najętych przez administrację (5 franków za wieczór) tanecznic i taneczników (szwaczek, praczek, czyścibutów i chłopców sklepowych) w nieszczere bo za pieniądze puszcza się pląsy. Oto bal, *rendez-vous* i giełda prostytucji, plac różnych nieraz potem w poprawczej policji rozwiązujących się konszachtów, i żniwo plotek i skandalów dla czyhających na nie dziennikarskich reporterów. Świątynia zabawy? Bynajmniej! Idzie się nań z nudów, z nałogu, z przyzwyczajenia, idzie się nań ulegając mimowolnie przyjętej rutynie i poszedłszy żałuje się straconego czasu, zapłaconych za wejście 10 franków, zdartych rękawiczek i zbrukanej białej krawatki, ból tylko głowy i spazmatyczne nerwowe ziewanie w jedynym wynosząc zysku. Wyjątek od tej ogólnej reguły pod pewnym względem stanowią może niektóre, na tamtej stronie Sekwany, w dzielnicy studenckiej, w „Łacińskim kraju“ (*Le pays Latin*), publiczne bale. Taki „Bal Bullier“ naprzykład. Uczęszcza na nie bowiem czasami ucząca się młodzież i po odebraniu z domu pieniędzy, z kilku butelkami wina w głowie, każdy z kochanką swoją pod rękę, szczerej czasami oddaje się ochocie. Lecz niestety, ochota często zbyt cynicznemi manifestuje się krzykami, zbyt w wyuzdanych maluje się ruchach, by zadowolić trzeźwego spektatora, który szukając zabawy i zmykając od jej antypodów, od chłodnych i nudnych jarmarków prostytucji, jakiemi są wszystkie bez wyjątku publiczne w Paryżu bale, nie myślał jednak z deszczu wpaść pod rynwę, i w rozpasanej orgji znaleść się kole.

A jednak niestety wybierać potrzeba. Między temi dwiema ostatecznościami nie masz tu środka. Francuz, ów słynny z wesołości Francuz, inaczej bawić się nie umie. Lub pozując w czarnym fraku w „foyer“ Opery w chłodne wdaje się targi, lub po studencku, w „Bullier“, frak i pozę składając na stronę, hula ale jak? Jak zwierzę! Innej na to pytanie nie żądajcie odpowiedzi.

Jak się który naród bawić umie, to najlepiej odcieniowuje się w formie i charakterze tańców jego — nieprawdaż? Na takie postawienie kwestji, wszyscy tuszymy zgodzą się bez sporu. Poważny Polonez, skoczny Mazur, wesoła Polka, posuwisty Walec, hulaszczy Kozak z prysiudami, ogniste Fandango itd., lepiej niż najwymowniejsze słowa wyrażają w załawie ochotę polską, hiszpańską i niemiecką. Naród francuski dwa wynalazł tańce: oficjalny, od parady, a jest nim Kadryl, lub gdy wolicie Kontredans, wymuszona i chłodna po parkiecie salonowym przechadzka; drugi poufały, familijny że tak rzeknę, a jest nim Kankan, który do najwyższej podniesiony potęgi „Szahiut'u“ (*Le Chahut*) przybiera nazwisko. Więcej jak pewne, że z wyjątkiem rzadkich, po dziurach zagranicznych wytartych bywalców, całość czytającej naszej publiczności prawie żadnego o nim nie ma wyobrażenia. Opisywać go przytem nie sposób. Taniec ten nie ma jak inne stałych, ściśle określonych reguł. Nauczyć się go niepodobna. Tańczyć mniej więcej od razu potrafi go każdy, byleby sobie z góry powiedział, iż się przed żadnym sprośnym nie powstrzyma gestem, byleby się upił naprzód prządnie i byleby skakał potem jak szalony. To wszystko. Więcej niczego nie trzeba. I im kto ekscentryczniejszą przybierze w nim pozę, im kto dłużej i częściej na głowie w nim skakać będzie, choćby do góry nogami, tem na zdolniejszego tancerza zasłuży nazwisko. Dosyć jedno powiedzieć: narodowy taniec Francuzów zostaje pod ścisłym nadzorem policji. U wrót każdego publicznego balu administracja utrzymuje ajenta. Misją jego jest czuwać, by tańczący panowie i panie za daleko choreograficznych nie posunęli ekscesów. Nie masz prawie jednego balu w wspomnianym już „Bullier“, któryby się skończył bez interwencji urzędnika publicznej moralności, i z którego by kilku przynajmniej studentów i studentek za zbyteczną nie wyprowadzono wesołość. A jednak nie można powiedzieć, by ów przedstawiciel porządku nadzwyczajnym odznaczał się puryzmem, by się czepiał byle czego, by szczególnej wymagał skromności. Bóg mu świadkiem, że wcale nie. Bóg świadkiem, że zamyka on oczy jak może, że wyłazi z kąta swego i interweniuje w ostatecznych tylko wypadkach, kiedy tego żelazna wymaga konieczność. *Aprés cela on n'a qu'à tirer l'échelle* nieprawdaż? Cóż więcej powiedzieć zdołamy? I kiedy się z myślą o tem cnotliwe pana Tissot w „Podróży do krainy miljardów“ (*Voyage au pays des milliards*) na niemoralność berlińską czyta oburzenie, to człowieka porywa śmiech pusty, to mu się jasno wykazuje prawda znanej przypowieści o „źdźiebełku i o belce“. Chyba, że mi powiecie, iż zwyciężonym wszystko wolno, nawet kłamać w razie potrzeby. W takim razie urywamy i w pełne szacunku dla nieszczęścia pogrążamy się milczenie.

Tyle o balach publicznych. Te jak mi to słusznie zauważycie, stanowią jedną tylko stronę zabaw karnawałowych. Są jeszcze bale prywatne, wieczorki towarzyskie, na których lepsza, zdrowsza część ludności paryskiej, z przyzwoitszą a niekłamaną bawić się musi ochotą.

O balach, o wieczorkach tych zatem z kolei.

Wiadomo, iż drożyzna życia w Paryżu wzrasta ciągle w sposób zatrważający. Nie wiem czem i jak się to dzieje, ale pomimo olbrzymich, ciągle się budujących gmachów, cena mieszkań nie zniża się ani o grosz jeden, przeciwnie dziś już potrzeba być miljonerem, by mieć mieszkanie niezbyt przestronne, ale przynajmniej nie nazbyt ciasne. Cena mieszkań takich względnie do części miasta, od 6ciu, co najmniej do 12tu i więcej tysięcy franków rocznie zwyczajnym podskakuje trybem. Wieleż zatem człowiek z familją musi mieć dochodu, by za same gołe, bez mebli, cztery mury mieszkania 8 lub 10 tysięcy rocznie zapłacić franków? Rzecz do obliczenia łatwa, i innemu ją chętnemu zostawiam statyście. Mieszkania więc tutejsze, mieszkania ludzi nawet zamożnych, ale których Bóg Rotszyldowskiemi nie obsypał miljonami, łatwą do pojęcia odznaczają się szczupłością. Salonik mogący siak tak 50—60 pomieścić osób, nader rzadkim już jest zjawiskiem i w opisach dziennikarskich pod szumnym „magnifique salon“ figuruje epitetem. Gdybyż tylko tyle! Wieczorek z 50, 60 złożony osób, może być nader przyjemnym i bawić się na nim można wesoło, aż miło. Tak! ale dla tego potrzeba, by zrobić abstrakcję z gospodarskiej próżności i nigdy więcej nad 50, 60, na wieczór nie zapraszać osób. Próżne marzenia! Wspomniana próżność na to nie pozwoli. Wieczorek taki przeszedłby niepostrzeżenie. Dzienniki, broń Boże, nicby o nim nie powiedziały. A przytem potrzebaby ich było w przeciągu zimy dać kilkadziesiąt, by wszystkich zadowolić, by nikogo ze znajomych nie ominąć. I za każdym razem nowe koszta muzyki, oświetlenia, strojów. Kiedy tak, jednym zamachem całej się zadość czyni gromadzie i daje się bal, bal całą gębą na dziennikarskie zasługujący reklamy. Próżność więc z jednej, a konieczny rachunek z drugiej strony sprawiają, iż w salonie mogącym jakeśmy rzekli wyżej 50, 60 pomieścić osób, tłoczy się ich tutaj przynajmniej 300. Zgadniecie łatwo, czem przy takich warunkach może być zabawa, czem mogą być tańce. Kręceniem się na jednem miejscu w kółko, niemiłosiernem deptaniem sobie po nogach, niemiłosiernem obrywaniem długich u sukień damskich ogonów. Trzeba być zaiste wielkim *quand même* wielbicielem Terpsychory, lub wielkim myśliwcem na posagi, by nie mówię już lubić, lecz by znieść cierpliwie te przez średniowiecznych oprawców zapomniane tortury. A jednak wierna to historja dziewięciu dziesiątych zabaw tutejszych. Wyjątek stanowią wielkie bale u prezydenta, u ministrów i książąt finansowych jak Rotszyldzi. Te tak tu jak wszędzie, wychodzą za obręb zwykłych rzeczy i rozumie się samo przez się, nie mogą służyć ani normą, ani przykładem. Przeważna większość zwyczajnych prywatnych balików pod powyższe *a la lettre* podpada opisanie, i jeśli kiedy w zbłąkanych do Lwowa dziennikach jak „Figaro“, „Gaulois“ lub „Paris-Journal“ wyczytacie mniej więcej następny frazes: „*On a cotillonė hier jusqu'à six heures chez la marquise Z. ou chez la baronne Y. Une foule elegante et animée remplissait ses magnifiques salons*“ to śmiało wyobraźcie sobie mały kwadratowy, 15 metrów wzdłuż i tyleż wszerz mający salonik, a w nim stłoczonych, jak w beczce śledzie, paręset nieszczęśliwych ofiar zabawy, które przy dźwiękach piana, skrzypiec i czasem klarynetu w niwec sobie rozmiażdżają stopy. Tak będziecie blisko prawdy lub przynajmniej o wiele od niej bliżej, niżeli przytoczone wyżej szumne blagierów dziennikarskich sprawozdanie.

Nie rzadko tu z kobiecych ust płynącą na młodzież teraźniejszą spotkać się można skargą, że salonów unika, że woli na publicznych balach w podejrzanem towarzystwie sromotnie trawić wieczory, niż jakby należało w porządnych domach młode i ładne nasze wytańcowywać córeczki.

Pobieżny opis publicznych w Paryżu balów na początku niniejszego umieszczony listu, dał sądzę poznać czytelnikom, jak mało balów owych jesteśmy zwolennikami, jak mało w nich znajdujemy powabów, a jednakże z myślą o torturach prywatnych wieczorków, nie możemy oskarżonej młodzieży zupełnego prawie nie dać rozgrzeszenia. Moralność, zapewne piękną jest rzeczą, lecz trudno wymagać, by ogół śmiertelników zdolnym był ponosic dla niej przechodzące siły katusze. Nie każdego Bóg stworzył na męczennika i młodzież owa, kiedy już jej balów koniecznie potrzeba, na publicznych znajduje przynajmniej więcej miejsca, więcej powietrza i co główne większą swobodę.

Karnawał zatem w Paryżu, z jakiej się nań nie zapatrywać strony, mało przedstawia powabów, żadną się nie odznacza szczególnością i jest sobie dalszym ciągiem codziennego żywota. Nie dalej jak przed ostatnią wojną jeszcze, oprowadzanie po ulicach tłustego wołu w poniedziałek i we wtorek zapustny, specjalnem i czas ten cechującem dla gapiów miejskich było widowiskiem. Dziś i ten zwyczaj, resztki średniowiecznej barbarji, w zupełne poszedł zapomnienie, i gdyby mi kalendarz nie mówił, że jesteśmy w samym środku zapust, epoki zdawien dawna na całej prawie kuli ziemskiej na szczególne przeznaczonej zabawy, tobym o tem mógł zapomnieć najzupełniej.

Wspominają mi się dawne czasy: Polska, zapustne kuligi, ochocze nasze zabawy, młodość, rodzina i wspomnienia te postawione obok szarej, bezbarwnej dzisiejszej wygnańca egzystencji, do zgryźliwego usposabiają mię humoru. List niniejszy liczne takowego nosić musi na sobie ślady.

Przepraszamy za nie łaskawych czytelników i powiedziawszy już o karnawale tutejszym wszystko, cośmy powiedzieć mogli i mieli, treści do dalszych gawęd poszukajmy gdzieindziej.

(Dok.)

POGADANKI.

X.

Świat uważany ze stanowiska środy popielcowej przedstawia się w tym roku lepiej, niż podczas karnawału. Jest on sobie zwykłym, powszednim światem, do którego nikt nie ma wielkich pretensyj i który nie obiecuje więcej, niż dać może. Zapusty były czemś na kształt „*Biesiady literackiej*,“ która jest pisemkiem warszawskiem bardzo dobrem w swoim rodzaju, ale nierównie skromniejszem od szumnego tytułu, jakim je przyozdobiono. Kto prosi przyjaciół na ziemniaki z podśmietaniem, ten może sprawić im miłą niespodziankę, dodając do tego niewykwintnego traktamentu, dajmy na to, po kawałku śledzia na każdą osobę. Natomiast, biada temu, co zaprosiwszy gości na „biesiadę,“ wyprawia ich potem głodnych do domu! Biada i karnawałowi, którego cąbry sarnie preparowane są na baranim łoju, i którego szampan jest marnością, złożoną z sodowej wody, gliceryny i koniaku! Gorzkie żale i sandacz z jajami, to zgadza się wybornie jedno z drugiem, ale kotylion przeplatany rozmową o potrzebie zapomogi głodowej, o upadłościach kupców i o trudności prolongowania wekslów, to dopiero prawdziwe *memento mori!* Z tego to zapewne powodu, już zaraz w środę dały się widzieć po mieście nierównie weselsze twarze, jakkolwiek często w zatrważający sposób kołysane tędy i owędy ponad chodnikami swojej ojczyzny, oczywiście w skutek nierównego jeszcze zawsze terenu i w skutek osłabienia nóg postem i medytacjami pobożnemi. Naród z większą otuchą patrzy w przyszłość i śmieje się w duchu na widok, jak deszcz spłukuje nalodki i błoto z ulic,

na złość magistratowi, który miał podobnoś zamiar sam około połowy czerwca wziąć się do tej roboty. I w tem jest źródło pociechy, że ankieta Towarzystwa rolniczego zbada na koniec, dlaczego taka bieda w kraju, kiedy nie ma co jeść? Niepewność jest zawsze najbardziej dręczącą rzeczą pod słońcem. Niejeden spałby spokojnie, gdyby wiedział, co go kąsa. To też Towarzystwo rolnicze położy niemałe zasługi, jeżeli mu się uda dociec, dlaczego Petro i Kuba nie karmią swoich rodzin zrazami bez kaszy, skoro im krup nie stało? Badanie to uwieńczone będzie tem piękniejszym skutkiem, jeżeli zważymy, że tegoroczny przednowek, gdyby się nawet zawziął jak najmocniej na Petra i na Kubę, skończyć się przecież musi przed przyszłem dorocznem zgromadzeniem pp. delegatów.

* * *

Lwów, jako Lwów, a nie jak miejsce zgromadzeń Towarzystwa rolniczego, wystąpił okazale na pogrzeb ś. p. Seweryna Goszczyńskiego. Smutna a uroczystość przybrała ów charakter podniosły, którego zastąpić nie zdoła żadna pompa urzędowa i wywołana nią próżna ciekawość tłumu. Z uznaniem wspomnieć należy, że i ta część publiczności, która posiada własne ekwipaże, tym razem nie uchyliła się od udziału w ogólnej żałobie. Na jeszcze większe uznanie zasługuje mowa ks. Krechowieckiego, wygłoszona nad grobem, a to równie z powodu tego, co zawierała w sobie, jak i z powodu tego, czego w niej nie było. Wiadomo, że w r. 1831 biskup Prażmowski wytoczył był ś. p. Goszczyńskiemu proces prasowy z powodu wrzekomego naruszenia religji w jego „Modlitwie wolnego.“ To i należenie do „spisków,“ obciąża w oczach *Czasu* i jego zwolenników pamięć zmarłego do tego stopnia, że w porównaniu z nekrologami ś. p. Adama Potockiego i Andrzeja Zamojskiego wzmianki o nim w organie krakowskim wypadły nader blado i nie były wolne od niechęci, której brak z przyjemnością uważać można było w mowie ks. Krechowieckiego. Zaszła już nawet z tego powodu utarczka między *Dz. Polskim* a *Czasem*, w której ten ostatni bronił się przeciw czynionym mu zarzutom w ten sposób, że nie wie, jak miał stylizować swoje artykuły, ażeby wyrażały żal po zgonie wieszcza. „Czy telegram miał być wilgotnym od łez, ażeby nie był suchym?“ — zapytuje perjodyczny jezuita. Wilgotnym być nie potrzebował, ale jedna z tych wielu łez, które *Czas* wylał nad męczeństwem ks. kardynała w Ostrowie, albo nad upadkiem sprawy Don Karlosa, mogłaby była zaświecić i teraz w jego łamach bez pomocy nie wynalezionych jeszcze, płaczących czcionek drukarskich. Nie da się także zaprzeczyć, że jedna lub druga korporacja krakowska mogła była z własnego popędu zdobyć się na odwagę wysłania deputacji na pogrzeb, bez względu na opinię *Czasu* o takiej „kompromitującej demonstracji.“

* * *

Znaleźli się wszakże luźni Krakowianie, którzy nie uważali obchodu, o którym mowa, jako sprawę wyłącznie lwowską, lub co najwięcej, wschodnio-galicyjską, ale pospieszyli oddać cześć pośmiertną Goszczyńskiemu, jak gdyby był umarł na lewym brzegu Wisły. Miedzy tymi nie „podporządkowanymi“ jeszcze synami i synowcami grodu Krakusa poznaliśmy jednego, który ujrzał Lwów po raz pierwszy przy tej sposobności. Ma się rozumieć, że najpierw wpadło mu w oczy tutejsze błoto, o którem w całym cywilizowanym świecie nikt nie ma nawet wyobrażenia. Lwów zasługuje, zwłaszcza o tej porze, ażeby był zwidzanym przez turystów, jak np. Herculanum i Pompei. Te miasta zaledwie wyzierają z lawy, z pod której je wykopano, Lwów zaś robi wrażenie siedlisk ludzkich, zaledwie trochę wygrzebanych z błota, i jest osobliwością w swoim rodzaju. Ale admirując błoto nadpełtwiańskie, Krakowianin nasz zrobił odkrycie, które mu wynagrodziło i trud podróży koleją żelaźną, i trud podróży po naszych chodnikach — spostrzegł mianowicie, iż Lwowianki mają bardzo piękne nóżki. Powoli, począł coraz wyżej i wyżej odrywać oczy od ziemi, a w miarę, jak je podnosił, wzrastał i potęgował się jego zachwyt, i — oto są skutki:

DO LWOWIANEK

PIOSENKA.

Miłą jak swawolne dziecię
Słynie Warszawianka,
Lecz dla mnie, na całym świecie
Najmilszą — Lwowianka.
Lwowie! to rzecz niepojęta,
Zkąd ty masz takie dziewczęta!
Zkąd ty masz takie dziewczęta!

Jadąc do was, ni mi w głowie
Były zalecanki;
Dzisiaj — czemu? niech kto powie,
W snach widzę Lwowianki?
Lwowie! to rzecz niepojęta,
Zkąd ty masz takie dziewczęta!
Zkąd ty masz takie dziewczęta!

Wdzięczne, składne, tęskne, wiotkie
Jak pajęcze tkanki;
Musi-ż to być życie słodkie
W uścisku Lwowianki!
Lwowie! to rzecz niepojęta,
Zkąd ty masz takie dziewczęta!
Zkąd ty masz takie dziewczęta!

Toż Warszawa mnie chowała
Nie żaden zaścianek,
Przecie dusza mi zadrgała
Tylko do Lwowianek.
Lwowie! to rzecz niepojęta,
Zkąd ty masz takie dziewczęta!
Zkąd ty masz takie dziewczęta!

Niech tam kto sławi urodę
Jakiej chce bogdanki;
Ja — bo w ogień skoczę, w wodę
Za uścisk Lwowianki.
Lwowie! to rzecz niepojęta,
Zkąd ty masz takie dziewczęta!
Zkąd ty masz takie dziewczęta!

Będą może stroić żarty,
Że wam splatam wianki;
Ja jednak — jestem uparty...
Nie ma jak Lwowianki!
Lwowie! to rzecz niepojęta,
Zkąd ty masz takie dziewczęta!
Zkąd ty masz takie dziewczęta!

Jeśli kiedy los mi zechce
Dać sercu kochankę,
Niechże wie, że innej nie chcę
Jak tylko Lwowiankę.
Lwowie! to rzecz niepojęta,
Zkąd ty masz takie dziewczęta!
Zkąd ty masz takie dziewczęta!

Żyłbym z Wami zimą, latem,
Dni, wieczory, ranki...
Cóż — gdy jechać muszę — zatem:
Uścisk Wam Lwowianki!
Jadę — i... rzecz niepojęta,
Smutno mi — Lwowskie dziewczęta!
Smutno mi — Lwowskie dziewczęta!

M. Rodoć.

Lwów 28 Lutego 1876.

Lwowianki powinne być wdzięczne tłumaczowi Bérangera i dumne z hołdu, oddanego ich generycznej piękności — o ile mi bowiem wiadomo, jest to pierwszy kwiat, który poezja u stóp ich składa, podczas gdy Warszawianki, Krakowianki, Podolanki itp. chwalono już na wszystkie nuty, chociaż nie zawsze tak udatnemi rymami. Nasi miejscowi lirycy zaś, jeżeli wśród narzekań na ból, który mają w sercu, i na pieniądze, których nie mają w kieszeni, wspomną czasem i o niewieścich wdziękach, a nietylko o piękności własnej swojej duszy, nie dodają nigdy, że przedmiotem ich uwielbienia jest Lwowianka. Ztąd poszło, że Lwowianki nie miały dotychczas tej sławy piękności, która się im słusznie należy, i którą się je niniejszem otacza.

Jan Lam.

Seweryn Goszczyński.

Wspomnienie pośmiertne.

O! piękne to Imię!
Imię z zakonem powiązane starym,
Z wiarą, zapałem, czuciem niewygasłem!
A takie c z y s t e — że może sztandarem,
A tak donośne — że może być hasłem!

Wł. Ordon.

I znowu oto zamknęła się mogiła nad jednym z tych wielkich pracowników bożych, nad jednym z tych mocarzy słowa, którzy potęgą swojego głosu, powagą imienia, czystością zasad, stałością przekonań: świecili narodowi jak gwiazdy przewodnie, szli przed nim jak słup ognisty co wiódł Izraela wśród puszczy, do krainy miodem i mlekiem płynącej. Mężowie ci, natchnioną pieśnią otwierali idealne bramy Polski, malowali jej piękność cudnemi kolorami, śpiewali o niej głosem wdzięczniejszym od pienia słowików: lecz sami żyli w tułactwie i nędzy, pożywając gorzki chleb wygnania — ze łzami i popiołem zmięszany.

Z ust ich płynęły słodkie miody, a poili się goryczą. Słowo ich natchnione, było owym chlebem ewangelicznym, którym dzieliły się rzesze a sami na chleb powszedni nie mieli.

Ilekroć wzrok mój zwróci się ku tym wielkim postaciom, które blaskiem swego imienia świecą jak wielkie słońca na polskim firmamencie, ilekroć wezmę do ręki „Dziady“ lub „Króla zamczyska“, tyle razy staje mi w oczach zamieniona na chleb powszedni koperta od zegarka Mickiewicza, — i Goszczyński w swej szczupłej izdebce w Paryżu, umierający z głodu i wycieńczenia.

Postacie tych dwóch mężów stają mi wtedy w oczach jak owe postacie proroków biblijnych, których lud izraelski wyganiał w pustynię... Tylko kruka nie było przy nich, coby jak kruk Eljasza ulitował się nad nimi i do ich spragnionych ust przyniósł w dziobie kroplę ożywczej rosy; — tylko nie widzę nigdzie tej wdowy — co dzieli się z nimi ostatkiem swoich zasobów i mienia.

Czyż mam dalej rozsnuwać nić porównania, czyż mam dalej krwawić serce wspomnieniami, których goryczy nie okupi — i nic nie usprawiedliwi.

Nie! Ten o którym mam mówić był całe życie bez skargi — był całe życie cichym jak gołąb, miłującym jak dziecię, kochającym jak chrześcijanin! W sercu jego nie było miejsca na nienawiść, — owszem, to serce wielkie ogarniało równą miłością godnych jej i niegodnych, — a te usta dziś martwe, zamknięte na wieki, zdawały się brzmieć ciągłem błogosławieństwem i miłością.

O! zaiste — nad tego starca cichego i prostego jak gołąb — a tak wielkiego duszą, a tak dostojnego imieniem, nie było równego w dziejach naszej literatury.

Kiedyś — życie Goszczyńskiego, będzie stanowiło piękną kartę do Plutarcha polskiego, bo zaprawdę był to mąż Plutarchowy!

Nic tak nie mówi o człowieku jak jego czyny, — nic tak go nie maluje jak stosunek w powszedniem życiu. Z czynów i życia Goszczyńskiego uwiłaby się wspanialsza korona aniżeli z dzieł jego; — bo natchnienie wieszcze — to dar Boży — i łatwo zmarnowanym być może! Lecz na życie czyste i bez skazy — to już nie daru Bożego potrzeba — to już nie przypadek się składa, ale ta siła moralna, ta potęga duszy, która wyrabia się w pocie czoła — w znoju życia — w walce z przeciwnościami. Która życiu wytyka cel wielki a wzniosły, porywy swe trzyma na wodzach woli, potężnieje w samej sobie, krystalizuje się niejako, aż się stanie twardą jak brylant i jak on pełną ognia i blasku!

Mężem takiego charakteru — takiej silnej woli — takiej potęgi ducha, był właśnie Goszczyński.

Przeciąg jednego tygodnia — oddziela nas zaledwie od tej szanownej postaci... Mój Boże — czas tak krótki, a taką przepaść zamykający w sobie!— Jeszcze go zda się widzę: siedzi z książką w ręku — pochylony nad biórkiem, nad którem do późnej nocy godziny trawi. Zawsze czynny i pracowity, zawsze pełen zachęty i pobłażania — z życia tak bogatego w czyny nie uronił ani jednej chwili... *Nulla dies sine linea* — zda się było jego zasadą — i hasłu temu był wierny do grobu. Na tydzień przed śmiercią — która nastąpiła po kilkomiesięcznej obłożnej chorobie, wręczyliśmy ś. p. Goszczyńskiemu najnowszą jedną publikację. Po zgonie, znaleźliśmy w pozostałych po nim dziełach książkę rozciętą. Jeszcze ją przeczytał starzec dogorywający...

Gdyby — nie ta cześć, którą żywimy dla ś. p. Goszczyńskiego, gdyby nie ta cześć powtarzamy dla wszelkiej po nim duchowej spuścizny — a więc i dla tej dziwnej — a dzisiejszemu pokoleniu nieznanej już skromności, którą się zmarły odznaczał: ileżby jeszcze można powiedzieć o życiu prywatnem Goszczyńskiego! Ale cześć ta właśnie dla zasady, której wielki poeta całe życie hołdował — nakazuje nam pełne poszanowania i podziwu milczenie.

Jako szczegół pełen charakterystycznej cechy, przytoczymy tu tylko notatkę, którą znaleziono w papierach pośmiertnych po zgasłym wieszczu. Notatka ta pisana świeżo — bo nosi datę 1873 roku, będzie nowym dowodem tej niezrównanej dobroci serca tej natchnionej chrześcijańską miłością duszy.

„Miałem sen — pisze Goszczyński, w którym widziałem człowieka broczącego we krwi z rany, otwartej na piersi. Sen ten napełnił mię niewymowną litością i czuję, że od dnia dzisiejszego więcej i silniej ludzi kocham."

Czyż te proste słowa — nie są wymowniejsze nad to wszystko co o Goszczyńskim powiedzieć można? Czyż w nich nie maluje się dusza piękna i wysoka?

Zaiste — czas by już przejść do innych szczegółów z życia Goszczyńskiego, z życia tak obfitego w wypadki, w czyny i zasługi. Czas by pomówić o jego literackiej działalności — o jego stanowisku jako poety, — o jego młodości pełnej burz i przygód, o jego tułactwie i niedoli... A przecież trudno piszącemu to, oderwać się choć na chwilę myślą od tej uwielbianej postaci — która w oddaleniu wieczności — w cieniu grobu, — większą i potężniejszą się wydaje, bo opromieniona nieśmiertelności urokiem.

Snać nie tylko ze zdrowiem — nie tylko z ojczyzną — ale i z istotą człowieka dzieje się toż samo, co czuł Mickiewicz w chwili, gdy pisał pierwszy wiersz do „Pana Tadeusza"...

Ile cię cenić trzeba, ten się tylko dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność Twą w całej ozdobie,
Widzę i opisuję, bo tęsknię po Tobie.

O tęsknoż — o smutnoż w sercach naszych po Twym zgonie — Wieszczu ukochany! Każdemu z nas — zdaje się, że stracił w Tobie ojca, opiekuna — tak widać głęboko sięgałeś miłością, taki czar rzucałeś na serca — czarodzieju pieśni — znahorze ludzi!...

„Smutno nam Boże!" — Z pośród świetnej plejady wielkich naszych wieszczów — przodowników narodu — gwiazda po gwiaździe gaśnie i coraz więcej zaciemnia się widnokrąg naszego nieba poetyckiego, tak do niedawna jeszcze rozjaśniony błyskawicami gieniuszu.

Nie żądajcież, bym nad zamkniętą ledwie mogiłą wieszcza rozsnuwał przed wami długą nić jego pracowitego żywota, tak zasobnego w ciekawe epizody, tak bogatego w szczytne przykłady, tak obfitego w miłość i poświęcenie!

Mówiłem więcej o Goszczyńskim jako człowieku — chcecie poznać pisarza, poetę, wieszcza narodu? Posłuchajcież co ten prawdziwy kapłan poezji mówi o treści swoich pieśni w obszernej przedmowie do lipskiego wydania — a słowa owe będą stokroć wymowniejsze od tego, coby o Goszczyńskim jako pisarzu powiedzieć się dało; — więcej one nam odźwierciedlą jego duszę aniżeli anatomiczny rozbiór krytyki.

„Nie pisałem nigdy w widokach zysku materjalnego (mówi Goszczyński) — tak zawsze wysoko ceniłem świętość natchnienia, że handel niem kładłem na równi ze świętokupstwem; a być rzemieślnikiem w pisarstwie, na to dzięki Bogu, nigdym się nie mógł zdobyć, nawet pod bodźcami najdolegliwszych potrzeb życia.

Nie pisałem nigdy dla rozrywki, dla uciechy własnej lub innych: — powołanie poezji schodzi według mnie z takiej wysokości, że zamienianie jej w narzędzie igraszki lub roskoszy, w trefnisia lub nierządnicę, uważam za jednę z wielkich zbrodni moralnych, wielką w czytelniku, jeszcze większą w poecie. Szanowałem też samego siebie tyle, żem się nigdy nie zniżył do podobnego spodlenia.

Nie pisałem nawet nigdy dla oklasków, dla chwały ludzkiej. Taką czczość czuję w naszej chwale poziomej, że nie byłbym nigdy zdolny jednej nocy dla niej nie dospać. Dla tego jeszcze nie pojmowałem nigdy owej zasady: sztuka dla sztuki, i nigdy nie uderzyłem czołem przed jej bałwanem."

Czyż potrzeba więcej — aby scharakteryzować lepiej całą działalność poetycką Goszczyńskiego, aby zajrzeć w głąb tej duszy na wskróś pięknej i czystej?

Nikt może wierniej nie trzymał się wytkniętego przez siebie programu jak czcigodny autor słów powyższych. Całe życie i wszystkie pisma jego — to ich najwymowniejsza, najpiękniejsza illustracja. Byli pisarze co pisali świetniej — żaden jednak szlachetniej i patrjotyczniej, żaden treściwiej... Bo Goszczyński ani na chwilę nie ulatał na skrzydłach fantazji „w rajską krainę ułudy" jedynie dla samej przyjemności nadziemskiej jazdy. Na każdej karcie jaśnieje myśl poważna, natchniona głęboką miłością, wyłoniona z wnętrza wzniosłej duszy, wśród strasznych cierpień porodu...

Nikt może więcej nie miał praw do świadczenia o sobie, jak autor „Posłania do Polski" w szczytnej modlitwie wieszcza, która zamyka ten piękny poemat:

„Wpijałem się w mą Polskę i ciałem i duchem,
Żyłem jej życiem, drgałem każdym prawym ruchem;
Dzieliłem mej Ojczyzny wszelkie przeznaczenia,
Przejmowałem jej wszystkie czucia — krom zwątpienia,
Ale nie odepchnąłem żadnego cierpienia;
Podstawiałem mą duszę pod wszelką jej karę,
Jej łzy, jej krew zlewałem w me serce jak w czarę."

Wielu kochało Polskę — jej przeszłość pełną chwały, jej groby i kurchany; wielu wymowniej i dźwięczniej mówiło o dawnem jej życiu — ale nie wielu tak jak Goszczyński wierzyło w jej przyszłość, w jej odrodzenie i w jej nieśmiertelność!

I gdy jeden z naszych poetów — w rozpaczy zwątpienia widzi tę Polskę na krzyżu przybitą — w mękach konania — w agonji ostatniej — Goszczyński potężnym głosem woła:

Nie natoś była stworzona,
Abyś marnie zaginęła!
Co wyszło z Bożego łona,
To ma byt Bożego dzieła.

. . . .

O! dla tego sercem całem
I duszą modlę się całą:
„Słowo Polski, stań się ciałem,
Duchu Polski, wejdź w twe ciało" *).

W krótkiem wspomnieniu czyż można kusić się o rozbiór pism, które tyle uczucia i rozmysłu wymagały i do których godnego odczucia i ocenienia potrzeba także wiele jednego i drugiego. Któż zresztą nie zna *Zamku Kaniowskiego*, *Sobótki*, *Króla zamczyska* i tylu innych wspaniałych utworów, któreśmy czytywali wszyscy z takim zapałem?

Oddawna już one przeszły na własność narodu, weszły w skład panteonu najprzedniejszych bogactw duchowych naszego społeczeństwa i świecą nam blaskiem z wyżyn podsłonecznych, nakształt owych śnieżnych szczytów gór — oświetlonych łuną wschodzącego słońca. One to najdzielniej krzepiły naszego ducha, dodawały mu otuchy i roznieciały święty ogień Źnicza, że mimo wiejących nań wichrów i słoty nie zagasł, lecz owszem, coraz jaśniejszym bucha płomieniem — aż wreszcie oczyszczeni w nim — wyjdziemy z próby ogniowej czyści — bieli — i nieśmiertelni.

Wydane na widok publiczny dzieła Goszczyńskiego (Lipsk — 1870 — 2 tomy) są zaledwie małą cząstką tego — co znalazło się w rękopisach pozostałych po zmarłym poecie. Niewiadomo zaiste czy podziwiać w nich ogrom pracy—

*) Posłanie do Polski Goszczyńskiego. Paryż 1869 r.

*

czy rozmaitość pomysłów. Nie są to bowiem same tylko poezje — utwory fantazji, ale dzieła i rozprawy wymagające głębokiej refleksji, skrzętnego zbierania materjałów — ciągłej pracy i studjów. Oto główniejsze z nich — że pominę — nie powiem mniej ważne, bo błahych rzeczy ani w dziełach ani w życiu Goszczyńskiego nie ma — ale zaczęte a przez śmierć przerwane i niewykończone. Z całości złożyłaby się spora kolekcja dziesięciu grubych tomów — i oto ich tytuły: *Rzecz o Poezji polskiej, — cywilizacja, postęp i doktryna, — aforyzmy i myśli, — miłość i narodowość, — jedność przekonania, — kobieta, — idea słowiańska, — dzieje i dziejopisarstwo, — Chrystus, — prawda* (w aforyzmach)—*Materjały do pamiętnika, duch i instynkt— poeci i estetyka,* wreszcie niezmiernej wagi i znaczenia materjaly do towianizmu, z których główniejsze oznaczone tytułami: *Rozmowy* z A(ndrzejem) T(owiańskim) i A(damem) M(ickiewiczem) i *Rozprawa z Towiańszczyzną;* wreszcie niedrukowane poezje z pierwszej epoki wstąpienia Goszczyńskiego w świat literacki i urywki z zaczętych poematów jak *Bitwa Lignicka i Kościelisko.*

A trzeba podziwiać w jak wzorowym porządku drogocenna cała ta spuścizna Goszczyńskiego znalazła się po jego śmierci!...

Najdrobniejszy zwitek papieru — notatka na świstku — wszystko to znajdowało się porządnie i systematycznie według treści i przyjętego planu poukładane. Snać że Goszczyński nie lekceważył sobie drobiazgów — lecz jak w całem życiu publicznem — jak w obec ludzi tak i w obec siebie, odznaczał się zawsze jednakowym, charakteryzującym go porządkiem i akuratnością.

Czas nam zmierzać do końca w tem naszem krótkiem wpomnieniu o zmarłym poecie. Czas ustąpić głosu wymowniejszym i godniejszym ustom a przecież tak nam trudno przychodzi oderwać się od tego pięknego wzoru wieszcza i obywatela, tak nam żal rozstawać z samem o nim wspomnieniem.

Mój Boże! Od roku 1869 t. j. od chwili w której poznaliśmy Goszczyńskiego w Paryżu, aż do tej pory upłynęło okrągłych lat siedm... Siedm lat! a przecież ten przeciąg czasu mniej nam się długim wydaje — aniżeli ta chwila ostatnia żałobnego rozstania od której zaledwie tydzień nas rozdziela...

Jakaż różnica czasu... jakaż zmiana okoliczności.

Lat siedm temu, Goszczyński zajmował dwa skromne pokoiki przy Avenue de Belle Air... Była godzina pierwsza w południe. Wszedłem do niego z p. Dyonizym Zaleskim, synem poety Bohdana, aby mu złożyć winny hołd czci i uszanowania. Zastaliśmy szanownego starca nad szklanką mleka i kawałkiem chleba — które pożywał właśnie.

— Przepraszam, rzekłem — przedstawiwszy się mu i uściwnąwszy podaną sobie życzliwie rękę — przerwaliśmy Panu niechcący śniadanie.

— O! nie — odparł, to mój zwykły objad.

Jak się dowiedziałem później — ten starzec szanowny, żyjący w takiem ustroniu Paryża— w opuszczeniu i nędzy prawie, rzadko kiedy inną posilał się strawą: chleb i mleko stanowiły wówczas całe jego pożywienie.

Wiadomo powszechnie, że w czasie oblężenia Paryża — Goszczyński zmuszony był z niedostatku spalić dla ogrzania się i ugotowania wodzianki całą swoją skromną bibljoteczkę, z takim mozołem, z taką ofiarą, bo od ust odjętym groszem zebraną.

Cześć takiemu charakterowi i takiemu hartu duszy!

Goszczyński — był najczęściej skupiony sam w sobie, — rzadko się udzielał w towarzystwie; długie godziny trawił na rozmyślaniu i ciągłej wewnętrzej pracy duchownej. To też siła jego duszy była niepospolita — i ona to dodawała mu mocy do zniesienia tylu ciężkich przygód — i do takiego nad ciałem zwycięztwa!

Dziewiczej czystości obyczajów — w czynach i słowie nie skalał się nigdy... To też mimo wieku późnego, mimo włosów białych jak śnieg,— dusza jego jasna i pogodna odbijała się w dziwnej, młodzieńczej niemal żywości wzroku — który nic ze swego blasku nie stracilo. Oczy Goszczyńskiego porównać można do błękitu nieba — tak były czyste jak ono — i tak niebieskie.

Postać Goszczyńskiego — dziś już maluje się przed oczyma naszemi jako postać legendowa. Tyle w niej dziwnego czaru, tyle prostoty — tyle uroku. Długi czas — skutkiem długoletniego swego oddalenia się od kraju, — i skromnego usuwania się na plan ostatni, uchodził Goszczyński dla wielu za postać mytyczną... obcą rzeczywistemu światu. Był on — jak owi mężowie izraelscy na gruzach zburzonej Jerozolimy... milczący, zadumany, samotny. I w tem właśnie jego siła —w tem leży urok którym przyciągał i zniewalał serca wszystkich, którzy mieli szczęście poznać go bliżej.

O nim to — powiedzieć można co o wybranym ludzie mówi Kornel Ujejski w swoich melodjach biblijnych. On to — jak owi mężowie izraelscy, co jednem słowem burzyli i budowali miasta

Nie od aniołów taką siłę wzięli,
Nie, oni cierpieć i milczeć umieli!

Władysław Bełza.

Przegląd naukowy

przez

Ludwika Wierzejskiego.

Dr. Magnus, docent okulistyki przy wszechnicy w Wrocławiu, wydał dziełko p. t. „Wpływ światła barwnego na oko zdrowe i chore,“ w którem wpływ i znaczenie, jakie światło różnych barw ma dla oka, ścisłym poddaje badaniom, opierając je na zasadach teraźniejszej optyki. Wyniki tych badań zasługują z tego względu na uwagę, ponieważ wykazują, że powszechnie prawie dotąd przyjęta i w okulistyce zastosowana zasada, według której światło niebieskie we wszystkich chorobach ócz, uważanem bywa za najkorzystniejsze, nie jest jeszcze pod względem umiejętnym dostatecznie uzasadnioną.

Dr. Magnus wykazuje zgodnie z optyką fizjologiczną, że w każdem promieniu światła trzeba rozróżniać dwa czynniki, tj. ilość przedmiotową. siłę światła i jego jakość czyli barwę. Od obydwóch tych czynników zawisłą jest wielkość wrażenia, które każdy barwny promień na siatkówkę oka sprawia. W świetle barwnem jest wprawdzie jeszcze trzeci czynnik a tym jest działanie chemiczne światła; ten czynnik jednak jest dotychczas tak mało zbadanym, że nie może być jeszcze uwzględnionym. O pierwszym czynniku wiemy z fizyki, że siła światła nie jest jednaką we wszystkich częściach widma. Największą jest ona w żółtem, pomarańczowem i czerwonem, najmniejszą w zielonem, niebieskiem i fijołkowem świetle. Drugi czynnik zaś zachowuje odwrotny stosunek; światło żółte, pomarańczowe i czerwone sprawia na siatkówce o wiele słabsze wrażenie barwy, niż światło zielone, niebieskie i fijołkowe. Badania doświadczalne wykazały, że aby zrobić wrażenie barwy na siatkówce, to światło czerwone wymaga trzy razy tak długiego czasu, jak światło niebieskie. Dla tego też przy zmroku prędzej znika światło czerwone niż niebieskie. Silniejsza barwa światła niebieskiego robi to światło dłużej widocznem, niż światło czerwone, które siatkówkę oka słabiej drażni.

Z tego się okazuje, że promienie wszelkich barw silnie podrażniają siatkówkę. Promienie czerwone, pomarańczowe i żółte czynią to przez swą przedmiotową siłę, promienie zielone, niebieskie i fijołkowe przez swoją barwę. Żadne więc barwne światło nie chroni ani uspokaja oka, gdyż każde ma pewną drażniącą własność. Chcąc zatem zbytnie tkliwe lub chore oko ochronić od światła, to nie zdołamy tego w odpowiedni sposób uczynić, jeżeli do oka przeważnie promienie jednej tylko barwy dopuszczamy, a inne wstrzymujemy, jak to n. p. przy używaniu niebieskich okularów albo niebieskich storów w oknach się dzieje. W tych razach bowiem, nie dopuszczamy do oka promieni czerwonych, pomarańczowych i żółtych posiadających znaczną przedmiotową siłę świetlenia, dopuszczamy jednak do oka promienie niebieskie, które siatkówkę przez swą barwę silnie drażnią. Oko chore nie doznaje więc od okularów niebieskich lub storów niebieskich równej ochrony przeciw obudwom czynnikom zawartym w świetle t. j. sile i barwie, lecz tylko przeciw pierwszemu, przyczem drugi czynnik tem większy wpływ wywiera. Przyroda sama ochroniła po części oczy ludzi i wielu gatunków zwierząt przed szkodliwym wpływem niebieskiego i fjołkowego światła. Wiele gatunków ptaków, płazów i skrzeków mają w siatkówce żółtawe lub czerwoniawe kropelki tłuszczu, które wielką część promieni niebieskich i fjołkowych pochłaniają. U ryb zaś żyjących w środowisku nieprzepuszczającem tylu promieni niebieskich i fjołkowych jak powietrze, nie spostrzeżono dotychczas takiego przyrządu. Oko ludzkie posiada znakomity przyrząd chroniący od promieni niebieskich, to miejsce bowiem na siatkówce gdzie się najwyraźniejszy obraz zewnętrznych przedmiotów tworzy, jest bardzo wyraźnie na żółto zabarwionem.

Gdy więc zarówno promienie czerwone, pomarańczowe i żółte, jak też zielone, niebieskie i fjołkowe są dla oka chorego szkodliwemi, to zaleca Dr. Magnus używanie w celu ochrony ócz takich szkieł, któreby tak siłę jak też barwę światła w równej mierze zmniejszały, i uważa jako najodpowiedniejsze do tego szkła szare czyli dymne.

Ważne dla archeologji przedhistorycznej odkrycie zrobiono w styczniu br. w Szwajcarji, w Kantonie Neufchatelskim, między Columbier a Auvernier. Odkryto cmentarz mieszkańców budynków palowych. W głębokości 1 m. 50 ctm. pod powierzchnią ziemi natrafiono na grobowce zbudowane z głazów narzutowych, nakryte surowo ociosanemi kamieniami półtora metra długości a jeden meter szerokości. W grobowcach tych znaleziono 15 po części dobrze utrzymanych szkieletów różnej wielkości. Obok szkieletów znajdowały się pierścienie bronzowe, zęby różnych zwierząt używane jako ozdoby na szyję, i siekiera kamienna (z Nefritu). Cmentarz ten jest tylko 50 metrów od tego miejsca oddalony,

w którem dawniej osadę palową odkryto. Odkrycie to wykazało, że mieszkańcy budynków palowych, chowali zmarłych na stałym lądzie naprzeciwko swych osad nawodnych.

Profesor dr. Haekel wydał niedawno dzieło p. t. „Arabskie korale.“ Dzieło to ozdobione przepysznemi kolorowanemi ilustracjami i rycinami jest owocem badań, które autor w swej podróży do Egiptu nad koralami morza Czerwonego robił. Dr. Haekel poświęcił je wicekrólowi Egiptu, z wdzięczności za znakomitą pomoc i wielkie ułatwienia które w tej podróży od wicekróla doznał. Korale znajdują się w morzu Czerwonem w bardzo wielkiej liczbie i bardzo pięknych okazach, co właśnie było powodem, że Haekel to morze za pole swych badań obrał.

Dzieło Haekla jest z tego względu uwagi godnem, ponieważ zawiera nowe odkrycie zrobione przez niego, które potwierdza teorję Darwina. Dla zrozumienia tego odkrycia musimy się zastanowić nad rozwojem koralów, znanym dopiero od lat kilku. Jajo korala jest komórką tak jak jajo innych zwierząt. Po zapłodnieniu znika jądro tej komórki; wkrótce jednak tworzy się nowe jądro. Komórka dzieli się potem wielokrotnie i przybiera postać gromady komórek podobnej do jagody morwowej, z którego też powodu otrzymała nazwę m o r u l a. W środku jej tworzy się płyn, w skutek czego przybiera postać pęcherzyka, którego ścianę jedna warstwa komórkowa stanowi. Pęcherzyk ten zaklęsa w jednem miejscu coraz więcej, aż nareszcie część pęcherzyka wgięta od zewnątrz ku środkowi zetknie się z częścią wewnętrzną nie zagiętą. W skutek tego wytwarza się otwór podługowaty podobny do kubka, którego ściana z dwóch warstw się składa. Wnętrze tego kubka jest jego żołądkiem, otwór jego to jego usta, a obie ściany komórkowe, są tak zwane pierwotne zarodkowe listki, z których się różne organa wytwarzają. W tem stadium okazuje nam się embryo korala jako (przez Haekla tak zwana) „larwa kiszkowa“ albo „gastrula.“ Ta postać zarodkowa którą u k o r a l ó w dopiero Haekel odkrył, jest z tego powodu bardzo ważną, ponieważ ona znajduje się w takim samym układzie jako postać przechodnia także u innych zwierząt niekręgowych należących do różnych klas, a nawet u niektórych kręgowych i tak u najniższego zwierzęcia kręgowego tj. u pomrownicy (Amphioxus), u kury, i innych. Gdy zaś wszystkie zwierzęta przechodzą w stanie embryonalnym przez różne fazy, w których są podobne do tych zwierząt które były ich przodkami, więc z tego wynika, że wszystkie te zwierzęta, które podczas swego rozwoju embryonalnego przechodziły przez postać gastruli, muszą mieć wspólne pochodzenie od zwierzęcia do tej gastruli podobnego. To (dotychczas tylko hipotetyczne) zwierzę, które według przypuszczenia Haekla żyło w okresie laurentyńskim, nazwał tenże „Gastraea.“

Odkrycie przez Haekla gastruli jako postaci, przez którą korale w ciągu swego embryonalnego życia przechodzą, dowodzi wspólności pochodzenia a więc pokrewieństwa koralów ze wszystkiemi zwierzętami kręgowemi.

W dolinie skalistej $2^1/_2$ mili na południowy wschód od Olkusza, odkryto jaskinię, do której wchód znajduje się na wysokości około 9 metrów nad powierzchnią doliny, w skale z jasno szarego wapienia jurasowego. Nad otworem wchodowym znajduje się czworograniasty, prawie regularny otwór, jak gdyby okno, który tę jaskinię od innych w tej okolicy znajdujących się łatwo odróżnić pozwala. Jaskinia zagłębia się w skałę więcej niż 1000 kroków, przyczem zmienia swą wysokość i szerokość a w niektórych miejscach powała jej przybiera postać kopuły. Ściany tej jaskini pokryte są połyskującą się warstwą wapna. W niektórych miejscach znajdują się sople wapienne, nie ma zaś w niej tak pięknych stalaktytów jak w innych jaskiniach. Podłogę jaskini stanowi kilka stóp gruba warstwa czarnej ziemi zmięszanej bryłami wapna różnej wielkości. W tej czarnej warstwie znajdują się kości zwierząt przedhistorycznych, z pomiędzy których najliczniejsze są kości niedźwiedzia skalnego (Ursus spelaeus). Pomimo że dotychczas w niewielu miejscach w tej jaskini kopano, znaleziono jednak już kilkaset wielkich zębów, a oprócz tego kości kręgowe, żebra i kilka dobrze utrzymanych czaszek tego zwierzęcia, która to okoliczność dla dalszych poszukiwań obfity zbiór rokuje. Znaleziono tam także zęby dzika i kości kilku gatunków ssaków mniejszych. Jakiś niemiecki spekulant kupił tę jaskinę w celu wydobywania z niej ziemi zmięszanej z częściami ustrojowemi i użycia jej jako nawozu, przy której to sposobności pewnie wiele szczątków zwierząt przedhistorycznych odkrytemi zostaną.

Henryk Paul w Paryżu odkrył dnia 29 stycznia rb. planetę krążącą około słońca między kolejami Marsa i Jowisza, z którem to odkryciem liczba znanych asteroid doszła do 159. Odkrycia małych planet między kolejami Marsa a Jowisza mnożą się coraz więcej. Do końca 18go wieku nie znano ani jednej z tych planet, pomimo że jeszcze Kepler w swem dziele: M y s t e r i u m c o s m o g r a f i c u m istnienie planety między Marsem a Jowiszem przypuszczał, a później po ułożeniu szeregu Titiusa przypuszczenie to coraz więcej zyskiwało prawdopodobieństwa. Dopiero w nocy 1 stycznia 1801 odkrył Józef Piazzi w Palermie pierwszą asteroidę: Ceres, poczem do roku 1807 jeszcze trzy inne, mianowicie Pallas, Juno i Vesta odkryte zostały. Odkrycie planety Astrea w r. 1845 rozpoczęło szereg dalszych odkryć, tak że odtąd każdego roku kilka, a w ostatnich latach nawet po kilkanaście asteroid odkrywano. Koleje tych planet są bardzo ekscentryczne i więcej od płaszczyzny ekliptyki odchylone niż koleje wielkich planet. Koleje asteroid są tak między sobą powikłane, że jeżeli się je przedstawi w modelu z drutu, to chcąc wyjąć kolej jednej asteroidy, wyjmie się przytem także wszystkie inne koleje. Objętość tych ciał niebieskich jest bardzo mała, tak że dopiero jedno z nich tj. Vestę zdołano z niejaką pewnością wymierzyć. Postać ich nie jest regularnie kulistą, lecz zdaje się być wieloboczną, z czego dawniej wnoszono, że asteroidy są kawałkami wielkiej planety, która w skutek jakiejś katastrofy rozbitą została; obecnie zaś uważane są one jako części pierścienia, który około słońca krążył, a później w bardzo wielu miejscach się poprzerywał. Jak wielką jest rzeczywista liczba tych planet, tego dotąd nie wiemy. Leverier przypuszcza że wynosi około 150.000; to tylko jest obliczonem, (przez Leveriera) że masa wszystkich znanych i nieznanych asteroid równą jest $^1/_3$ masy ziemi.

Piśmiennictwo zagraniczne.

(*Dr. Richard Roepell Polen um die Mitte des XVIII Jahrhunderts, Gotha 1876. — Ciąg dalszy.*)

Historja Polski w tej brühlowskiej epoce na pierwszy rzut oka zdaje się stanęła. Właściwie jednak życie publiczne rozwijało się w dwu kierunkach: z jednej strony moralny poziom szlachty coraz bardziej spadał, z drugiej idee reformy coraz dalej się rozszerzały. Trudno jest wyśledzić koleją każdy moment tego procesu, jego wszakże niewątpliwe istnienie dowodzą późniejsze skutki, w których obie te strony życia wyraźnie wystąpiły. Rozumie się, wobec takich warunków „familja“ dla uratowania i utrwalenia swego wpływu miała drogę wskazaną: zjednoczyć się z dworem i Brühlem. Rzeczywiście wkrótce go pozyskała środkami, którym on się nigdy nie opierał: uległością, pochlebstwem, przekupstwem, popieraniem jego interesów i solidarnością z dworem przeciw innym wielkim familjom. Po tej drodze doszła do swego celu — władzy i wpływu. Przez pewien czas była istotnie „rozdawczynią łask,“ o ile tylko na to korona dozwalała. Stworzywszy sobie przez najrozmaitsze sposoby obszerną klientelę, posiadała w Rzeczypospolitej olbrzymi zastęp protegowanych przez siebie urzędników, oficjalistów, koronnych i prywatnych dzierżawców, gotowych zawsze na jej skinienia. Związki z możnemi familjami skrzętnie przez małżeństwa zawiązywane pomnażały również jej potęgę. Znanem jest z powszechnej i naszej historji zawichrzenie, jakie wstrząsnęło w tej porze politycznemi stosunkami Europy, zwłaszcza między Francją, Austrją, Prusami a po części Rossją i porwało w swój wir Polskę. Nie tyle dla dobra kraju, ile raczej dla wyosobnienia się i opozycji przeciw Czartoryskim ciągle pochylonym ku Rossji, równi im a nawet wyżsi w sile Potoccy rozpoczęli prowadzić przeciwną politykę, a następnie wojnę na własną rękę. Stojący na czele tej partji Józef Potocki, w. hetman koronny zamierzył zetrzeć się z Rossją. W tym celu sprzymierzył się ze Szwecją, i wypowiedział posłuszeństwo swojemu królowi. Slachta jednak odmówiła udziału w tych planach, które wreszcie musiały upaść. Podczas gdy Brühl szachrował ciągle w swej zagranicznej polityce, przerzucając się ciągle z jednego obozu do drugiego, odezwał się z łona „familji“ bezimienny głos, kreślący nieszczęsnemu narodowi jedyną drogę zbawienia. Autorem tego głosu, wyrażonego w „L i ś c i e p o l s k i e g o s z l a c h c i c a d o j e d n e g o z e s w o i c h p r z y j a c i ó ł“, miał być stary Poniatowski. — List ten zawiera bardzo na owe czasy śmiały plan reformy, której głównym punktem — pomnożenie wojska. Był to — według autora — jedyny środek wyjścia z opłakanego położenia. Wszystkie inne pomysły reorganizacji kraju winne zmierzać do tego naczelnego celu. „Wyznaję — powiada autor — że ogień wojny, jaki niedawno wybuchł u naszych sąsiadów, tak mnie przeraził, że do tej chwili nie mogę ochłonąć ze strachu. Strachu tego nie mogę uważać za bezzasadny, zważywszy, jak niedostatecznemi są nasze militarne siły, jak wielką nasza niedbałość i lenistwo. Nie mamy ani armji, ani arsenałów, ani pieniędzy, jednem słowem jesteśmy z wszystkiego ogołoceni, czego wymaga bezpieczeństwo i obrona kraju. Bojaźń moją wypowiadam publicznie, nie w tym — broń

Boże celu, ażeby rozdrażniać Sejm przeciwko któremukolwiek z naszych sąsiadów, bo niech pokój z niemi zostanie jak najsumienniej zachowany — ale zarazem chciałbym, ażebyśmy byli zasłonięci przeciwko wszelkiemu niespodziewanemu napadowi, a zasłony dostarczyć nam może tylko szybkie i znaczne powiększenie armji. Inaczej będziemy musieli ciągle ulegać prawu mocniejszego. Całe lata zajmowano się tą kwestją, kreślono najrozmaitsze plany, nic jednak nie doprowadzano do skutku: Wszystko kończyło się próżną gadaniną i zamkami na lodzie. Ażeby więc raz dojść do celu, trzeba przedewszystkiem pomnożyć dochody Rzeczypospolitej, przez nałożenie cła na wszystkie towary, od którego nikt nie powinien być wolny. Jeżeli zaś to cło ma przynosić większą korzyść, trzeba popierać handel i przemysł przez oswobodzenie od ciężarów, jakie swawola jednostek nakłada. Nadto należałoby przestrzegać, ażeby starostwa czwartą część dochodów — nie jak dotąd nominalnie, ale faktycznie — wnosiły do skarbu na utrzymanie armji; ażeby szlachta i kler nie były wolne od czopowego i opłat trunkowych. Wyznaczywszy stałe djety posłom i trybunałom, zapobiegłoby się ich zepsuciu, do którego zwykle niedostatek je skłania. Tabaczny i papierowy monopol na korzyść Rzeczypospolitej, rozumne określenie wysokości porta od listów, przyniosłoby znaczne sumy. Wszystkie te jednak środki nie osiągnęłyby należnego rezultatu, gdyby każdy kochający ojczyznę i dbający o swój honor obywatel nie przyjął na siebie dobrowolnie podatku od swego mienia, od której to daniny nawet królewskie dobra nie powinne się wyłamywać. Jeżeli prędko i poważnie przyłożymy rękę do dzieła, zaraz wzrośnie szacunek narodu u sąsiadów, którzy o przyjaźń z nami się postarają, bo jej potrzebować będą.

Bezzwłocznie zatem winien każdy miłośnik ojczyzny o to się starać na nadchodzących sejmikach, ażeby posłowie otrzymali w tym kierunku najściślejsze instrukcje, i nie cofali się przed żadnym trudem i pracą, któraby ostatecznie skłoniła Sejm do powzięcia, w tej ważnej kwestji życia narodu, słusznych postanowień.“ Interesującym jest projekt autora, zbijający zarzut, jakoby Rzeczpospolita nie posiadała dla wielkiej armji dostatecznego zaludnienia. Trzeba popierać małżeństwa i ograniczyć liczbę klasztorów. Małżeństwo jest sakramentem zasługującym na uszanowanie, stanem przez samego Boga wyznaczonym dla zapełnienia ziemi ludźmi. Tymczasem tłumy wstępują do klasztorów jedynie z nierozwagi, pospiechu i próżniactwa, i ztąd koniecznym jest zakaz składania ślubów przed 25 rokiem życia. Czy modlitwa chłopa lub prostego żołnierza mniej jest miłą Bogu, niż mnicha lub zakonnicy? Z majętności zniesionych klasztorów możnaby zyskać fundusz na wychowanie biednych dzieci, o które się dotąd nikt nie troszczył, na założenie szpitalów i inwalidzkich domów. Możnaby także, naśladując inne katolickie państwa, żądać od stolicy Apostolskiej zniesienia nadmiernej liczby świąt, które zwykle pobudzają tylko do bigoterji, próżniactwa i wybryków. Jeżeli nadto oswobodzimy miasta od samowoli i niewolnictwa, pod jakiem jęczą, i zwrócimy im dawne prawa, jeśli nadto staro-katolików traktować będziemy z większą tolerancją i ludzkością i o tyle zapewnimy im wolność wyznania, że bez przeszkody będą mogli odprawiać nabożeństwa w swych domach, wywołamy przez to nietylko szybki wzrost krajowego zaludnienia, ale nadto sprowadzimy licznych przychodniów.

Dla armji wymaga autor podniesienia żołdu, lepszej karności i wprowadzenia systemu rekrutacyjnego na podobieństwo pruskiej ustawy kantonalnej.

Przytoczyliśmy szczegółowiej zawartość owej bezimiennej broszury, gdyż z jednej strony jest ona rzadkością naszym dziejopisarzom nieznaną, a z drugiej — zarówno w swej tendencji jak i pojedynczych punktach zdradza wyjątkową na swe czasy śmiałość. Jeżeli uprzytomnimy sobie wszystkie warunki, wśród których ów głos się odezwał, łatwo zrozumiemy jego wielką odwagę. Dość powiedzieć, że on nawet wśród obecnych nie przebrzmiałby bez silnej opozycji. Upomnijmy się nie w r. 1764 lecz w 1876 o zniesienie klasztorów lub zniesienie świąt, a łatwo przekonamy się, jak podobne żądania są przedwczesne. Cały — jak go dowcipnie Lam nazwał — podwawelski naród skamienieje ze zgrozy, stróże jego wyborowych dusz rzucą grad klątew, pobudzą do najprzeróżniejszych pobożnych obstalunków i wyślą z obfitych faryzeuszowskich modłów deputację do nieba dla przebłagania wszystkich zagniewanych świętych. A cóż dopiero mówić przed — wiekiem! Chociaż znowu często chronologja drwi niemiłosiernie z ludzkiej dojrzałości. Czasem doświadczeni okazują naiwność dzieci i ich głupotkę.“ (C. d. n.)

Z pola wielkich wynalazków.

Nitrogliceryna. — (*Dokoń.*)

Otoczone wodą materje wybuchające oddają całą swą siłę otoczeniu, i woda łamie co napotka po drodze. Torpila wybuchająca w wodzie wyrzuca, jeżeli się tak wyrazić można, w górę kulę wodną, która uderzając o okręt podnosi go w górę i druzgoce w powietrzu na części. W przeszłym nr. *Tygodnia* w powieści Vrne'a mamy prawdziwe opisanie tego rodzaju eksplozji. Opierając się na tej własności, pan Apel urządził pociski napełnione wewnątrz wodą i małym nabojem wybuchającym. 7 gramów ścieśnionej bawełny strzelniczej rozrywało w tak urządzonej bombie, ścianki na osiem razy większą ilość części, niż gdybyśmy ją napełnili całym nabojem prochu. Ponieważ woda mniej jak proch kosztuje, należałoby więc zastosować ten wynalazek w sztuce wojennej.

Poznaliśmy dotąd sposoby wzmocnienia siły materji wybuchających; przypatrzmy się teraz działaniu tych sił. Kilka uncyj nitrogliceryny, nie zamkniętych w otworze jakby to z prochem uczynić należało, lecz nalanych tylko na powierzchnię kamienia ważącego 6000 funtów, wystarcza do rozerwania kamienia na tysiączne kawałki. Ta własność nitrogliceryny, że nie potrzebuje być zamkniętą tak jak proch, i jej siła kolosalna robiły ją środkiem rozrywania skał przy budowie tuneli i dróg, nie mającym już teraz rywala. W formie dynamitu używają ją wszędzie. Wprawdzie użytkowanie jej jest niebezpiecznem, lecz wszystkie wielkie siły, któremi się nasz wiek posługuje, są niebezpieczne i trzeba ciągłej pilności, ciągłej uwagi człowieka, aby te siły, które on dla swego dobrobytu używa, nie obróciły się przeciw niemu.

Nasuwa się nam teraz pytanie, co jest przyczyną tej olbrzymiej potęgi nitrogliceryny w porównaniu z prochem, który także wydaje wielką ilość gazów (zaledwie 3 razy mniejszą jak nitrogliceryna), lecz nie posiada siły tak wielkiej nawet w przybliżeniu? — Przyjrzenie się procesowi spalenia się obu tych ciał, odpowie nam na to. Proch i nitrogliceryna przy spaleniu się wydają te same prawie gazy, i w obu spalenie się polega na połączeniu się atomów węgla i wodoru z tlenem. Otóż w prochu atomy węgla i atomy tlenu są na różnych drobnych cząstkach ciała, ziarnka bowiem saletry dostarczającej tlen są osobno a ziarnka węgla osobno, a w nitroglicerynie atomy te są częściami jednej drobiny, jednego molekułu. Dla tego też w prochu, przy spaleniu się połączenie chemiczne tlenu z węglem może mieć miejsce tylko na powierzchni tam, gdzie się atomy tych ciał stykają, i całe palenie się prochu postępuje warstwami, a nitrogliceryna wybucha odrazu, bo łączące się atomy w całej masie są w bezpośredniej styczności i trzeba małej jakiejś przyczyny, żeby wywołać ich połączenie chemiczne.

To chwilowe spalenie się w całej masie, w połączeniu z 3 razy większą ilością gazów (proch wywiązuje gazy 300 razy większej objętości jak sam zajmuje a nitrogliceryna 900) daje nitroglicerynie tę olbrzymią przewagę nad prochem. Prof. Cooke objaśnia w sposób następujący działanie nitrogliceryny: Trzeba pamiętać, że wszystkie nasze doświadczenia robimy w powietrzu, i że to powietrze ciśnie olbrzymio na powierzchnię każdego ciała. Jeśli się pewna objętość gazu raptownie rozwija, to musi ona podnieść ten cały ciężar, który się w tym wypadku ,jakby korek w butelce w której się gazy wywiązują zachowuje. Ciężar ten potrzebuje użycia z wielkiej pracy mechanicznej do swego podniesienia. Postaramy się obliczyć to przybliżenie. Dajmy na to, że spalimy na skale nitrogliceryne, i że przy spaleniu otrzymujemy łokieć kubiczny gazów. Gdyby zamiast skały, która została rozerwaną, ustąpiło powietrze, to gazy podniosłyby na jeden łokieć wysokości cały ciężar atmosfery na łokieć kwadratowy działającej (coś około 18000 funtów). Jest to praca olbrzymia tem bardziej, że wykonywa się w jednej prawie chwili. Ponieważ praca potrzebna do roztrzaskania skały okazała się mniejszą, więc zamiast atmosfery, ustąpił kamień z drogi.

Równa co do wagi ilość prochu wydałaby tylko trzecią część tych gazów i podniosłaby ten sam słup powietrza trzy razy niżej. Praca więc w tym wypadku jest trzy razy mniejszą. Ponieważ zaś wybuch trwa sto razy dłużej jak poprzednio, więc praca prochu wynosi ostatecznie zaledwie $^1/_{100}$ jednej trzeciej czyli $^1/_{300}$ pracy wywiązanej przy wybuchu nitrogliceryny. W tym wypadku łatwiej jest podnieść powietrze jak usunąć kamień z drogi.

Możemy się na to zapatrywać jeszcze z innego punktu. Łatwo zauważyć, że wywiązanie raptowne takiej wielkiej masy gazów, które się stają częścią atmosfery, jest to samo co uderzenie atmosfery o skałę, a ponieważ powietrze jest większą masą i działa jak kowadło, więc wyrazimy się lepiej mówiąc, że jest to to samo, co uderzenie skały o powietrze. Dziwnie to wprawdzie brzmi jakoś, że powietrze jest kowadłem na którem się rozbija skała, lecz tak jest w rzeczywistości. Jeżeli coś nadzwyczaj prędko uderza o powietrze, to może ono okazać taki opór jak i skała granitowa. Jeżeli weźmiemy deseczkę, mająca jeden łokieć kwadratowy powierzchni, to ciśnie nań 18000 funtów powietrza. Lecz ponieważ ta sama siła ciśnie i z drugiej strony i cząstki powietrza są tak ruchome, że się łatwo usuwają, skoro powoli deseczkę poruszamy, więc spotykamy tak mały opór, że go nie czujemy. Lecz jeżeli ją prędko poruszać będziemy, to poczuwać zaczniemy ten opór, gdyż drobiny powietrza potrzebują czasu, aby się z drogi usunąć. Gdybyśmy poruszali deseczkę z prędkością najszybszej lokomotywy, uderzylibyśmy naszą deseczką o jeszcze większą ilość drobin powietrza i spotkalibyśmy opór, któremu siła muskułów naszych podołać by nie zdołała. Gdybyśmy tę prędkość 10 razy powiększyli, to jest: poruszali deseczkę z prędkością dźwięku, to rozłamalaby się ona nam w kawałki. Gdybyśmy poruszali jeszcze 10 razy prędzej, to by i płyta żelazna popękała. Pomnożywszy tę prędkość jeszcze raz przez 10 otrzymujemy prędkość z jaką ziemia nasza bieży około słońca, coś około dwóch miljonów metrów na minutę. Powietrze nasze stawiłoby ciału poruszającemu się z taką szybkością opór niezwyciężony. Widzimy to na meteorach, które w swym biegu przechodzą niekiedy przez naszą amosferę. Ich wybuch jest bezpośrednim działaniem uderzenia ich masy o powietrze, które w tej wysokości jest znacznie rzadsze jak nasze.

To samo się dzieje przy wybuchu nitrogliceryny. Kamień uderza o powietrze z taką szybkością, że oddziaływa ono jako masa stała i kamień rozpryskuje się na części.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Marja. Powieść przez Antoniego Malczewskiego. Warszawa 1876.

Wydanie jest ozdobione fotografjami podług rysunku Andriollego. Księgarnia p. Gebethnera i Wolffa zasłużyła się istotnie tem pod każdym względem wzorowem wydaniem arcydzieła literatury naszej. Wydanie jest nader zajmujące. Z pomiędzy wzorowo wykonanych illustracyj, przejmuje najbardziej ta, w której artysta przedstawia smutek w postaciach Miecznika i Marji pod lipą. Świetną jest także cała kompozycja wyobrażajaca maskaradę. Co do rysunku, jest on poprawny, i tylko w proporcjach figur pojedynczych artysta chybił kilka razy.

— Historja starożytna ułożona przez Tadeusza Korzona. Warszawa 1876. Z dołączeniem trzech map, planu, tablicy synchronistycznej i 97 drzeworytów.

Trzecia to już w ciągu bieżącego roku szkolnego praca samoistna polska, poświęcona dziejom starożytnym. O pierwszych dwóch Dr. Benoniego donosiliśmy w swoim czasie. Historja starożytna p. Korzona jest napisana metodą poglądową, a liczne illustracje osób i wypadków historycznych stanowią wielką pomoc i podporę dla pamięci ucznia. Autor pojmuje dzieje przedewszystkiem ze strony cywilizacyjnej. Z tego wychodząc stanowiska, u wstępu kreśli nam dzieje początkowe, dobę, że się tak wyrazimy, dziecięcą całej ludzkości. Dział ten w nowszych czasach szczególnie został odkryciami znacznie rozjaśniony, i nić wiążąca dzieje całej ludzkości poczyna się nawiązywać. Dotąd traktowano dzieje dopiero od wieku młodzieńczego narodów, gdy te osiągnąwszy już pewien stopień oświaty, na pole dziejowe wchodzić poczęły. — Wprowadzenie przez p. Korzona człowieka pierwotnego od chwili ukazania się tegoż na ziemi, uważamy za wielką zaletę dzieła. Jest to nowość, a przyznajemy, zupełnie właściwa, z którą nie spotkaliśmy się dotąd w żadnym innym podręczniku w literaturze nawet obcej. Dzieje Wschodu ukazał nam autor w świetle nowoczesnych badaczy jak Leptiusa, Lenormant'a, Ravlinsona i innych — a wiadomo, iż nieuwzględnienie właśnie tych badaczów stanowiło główny zarzut czyniony pracy Dr. Benoniego.

Nowości

podawane przez księgarnię
Seyfarta i Czajkowskiego
we Lwowie.

Merunowicz. — Wewnętrzne sprawy Galicji, w 8ce. Lwów 1876. Zł. 1.

Pamiętnik więźnia stanu (od 1835 do 1849) przez L. N. w 8ce. Lwów 1876. Zł. 1·50.

Serce niewieście. Nowella przez W. Nosty, w 8ce. Warszawa 1876. Zł. 1·70.

Langie Karol. — Ogród warzywny, w 12ce Kraków, 1876. Zł. 1·50.

Verne J. — Podróż do Bieguna północnego 2ty, w 8ce. Warszawa 1876. Zł. 3.

Szujski J. — Rycerze. Komedja Arystofanesa grana w 425 roku przed Chrystusem w Atenach, w 8ce. Warszawa 1875. 70 ct.

Pawiński A. — Pamiętniki Marcina Matuszewicza kasztelana Brzesko-Litewskiego 1714—1765 3ty w duże. 8ce. Warszawa 1876. Zł. 7·50.

Walter Skott. — Klasztor, w 8ce. Warszawa 1875. Zł. 2.

Przewodnik dla stolarzy. Wydanie drugie w 8ce. Warszawa 1876. Zł. 2.

Powody urzędowe do księgi pierwszej kodeksu cywilnego Królestwa Polskiego z roku 1825 z dyarjuszu Senatu sejmu królestwa Polskiego z reku 1825 zebrał i ułożył M. Godlewski. Warszawa 1875. Zł. 8·50.

Souvenirs de l'année 1848 par Maxime du Camp. — la revolution de Fevrier, le 15 Mai, l'insurrection de Juin — Paris 1876, w 8ce. Zł. 1·90.

Les Galleries souterraines par Maxime Helene. Ouvrage illustré de 35 vignettes sur bois in 8. Paris 1876. Zł. 1·35.

Histoire de l'orfévrerie depuis les temps les plus reculés jusq'a nos jours par Ferdinand de Lasteyrie illustré de 62 gravures. 8. Paris 1875. Zł. 1·35.

Quatrelles, L' Arc-enciel. Histoires de toutes les couleurs 8. 1876. Paris. Zł. 1·80.

Gramont, Les vers français et leur prosodie 8. Paris Zł. 1·80.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Pogrzeb ś. p. Seweryna Goszczyńskiego.

— Bardzo dawno, dawniej niżeli sięga pamięć najstarszego mieszkańca Lwowa, gród nasz nie widział takich tłumów olbrzymich, kilkudziesięciotysiącznych, jak te, które składały wspaniały orszak pogrzebowy ś. p. Seweryna Goszczyńskiego. A dodać trzeba, że choć wszystkie niemal warstwy ludności naszej były licznie reprezentowane, te tłumy nie spieszyły, by oglądać n. p. różnokolorowe mundury generalicji, gapić się baterjami dział, słuchać marszów pogrzebowych wojskowej muzyki, jak to się dzieje zawsze przy tego rodzaju ceremoniach oficjalnych. One spieszyły, nie powodowane ciekawością dziecinną, ale pociągnięte głosem obowiązku, mimowiednie nakazującym: oddać królewską cześć ostatnią temu, który całem życiem swojem zasłużył, by mu współcześni i nie złotą, lecz nieśmiertelności koronę włożyli na skronie! — Do skromnego pokoiku w oficynie kamienicy pod l. 54 przy ulicy Halickiej, gdzie leżały zwłoki, cisnęły się tłumy, by raz ostatni zobaczyć, zapamiętać sobie drogie oblicze zgasłego Wieszcza. Bolesna myśl nasuwa nam się koniecznie pod pióro na tem miejscu. Ten król pieśni, chluba i bohater wielki ojczyzny, którą kochał bez granic przed wszystkimi i nad wszystko, ostatki skołatanego życia pędził w czterech ubogich ścianach, a zaledwie ten i ów z kół szerszych wiedział o tem. Nie jeden, idąc tamtędy 25go b. m. z rana, nie przeczuwał zapewne, że o kilka kroków, w głębi domu, konał na rękach kilku przyjaciół arcymistrz słowa, autor „Sobótki“, „Zamku Kaniowskiego“, „Króla Zamczyska“, etc. jeden z twórców powstania Listopadowego, dzielny żołnierz i syn ojczyznie do swego skonu wierny. Ha! ogół nasz nie kamienuje wprawdzie proroków swoich, ale wyznać, rzecz smutna — nie wie o nich, a dowiaduje się dopiero po ich śmierci...

W niedzielę 27. b. m. o godz. 3ciej po południu, chór Towarzystwa muzycznego pod kierownictwem p. Mikulego odśpiewał hymn Lotte'go. Następnie chór teatralny solistów i chórzystów, pod dyrekcją p. Jareckiego, odśpiewał „Ave Maria“, poczem eksportował zwłoki ks. infułat Mossing *in pontificalibus*, otoczony gronem starszego duchowieństwa kapituły łacińskiej i ormiańskiej. Na czele imponującego pochodu szedł oddział straży ochotniczej, za nim bractwa kościelne z chorągwiami wszystkich kościołów lwowskich. Dalej szło kilkuset członków stowarzyszenia „Gwiazdy“ ze ślicznym sztandarem swoim z Matką Boską Częstochowską; Towarzystwo drukarzy, stowarzyszenie młodzieży handlowej, cechy z chorągwiami, młodzież szkół gimnazjalnych i realnych (choć nie zwołana oficjalnie) i liczna młodzież obu Akademji następowały w porządku po sobie, otoczone tysiącami uczestników z reszty mieszkańców Lwowa. Zakony i. seminarjum łacińskie zebrały się in gremio. Reprezentanci asekuracyj krajowych, banków, towarzystw: rolniczego, lekarskiego, postępowali przed Radą miejską z panem prezydentem Jasińskim na czele. Przed trumną niesiono wawrzynowe wieńce: od Polek, dziennikarzy, literatów, młodzieży uniwersyteckiej, słuchaczy Akademji technicznej, młodzieży handlowej, gimnazjalnej, realnej, drukarzy i t. d. Otoczony reprezentantami niosącymi te wieńce, p. Brzozowski weteran z r. 1831 i 1863 niósł na poduszce palasz, jako znak żołnierskich zasług ś. p. zmarłego. Trumnę z wieńcem wawrzynowym niesiono od domu aż do grobu, a zdobywano sobie ten zaszczyt na wyścigi, bo każdy dobijał się by wziąć na barki ciężar drogi. Za trumną szła nieliczna garstka osiwiałych towarzyszów broni ś. p. Seweryna z r 1831, dalej znajomi jego i tłumy nieprzeliczone. Z okien domów, po przed które prowadzono kondukt, powiewały czarne flagi. Na Halickiej ulicy wywieszono w jednem miejscu kilka sztandarów z wyszytemi na tle czarnem orłami białemi. Z powodu haniebnej drogi, jakiej nie powstydziłaby się najmniejsza mnieścina żydowska, wybojów, błota, jezior istnych co krok niemal, a także dla rosnących co chwila tłumów, pochód kroczył zwolna, i dopiero po 5tej stanął na cmentarzu. Tu ścisk był tak niezmierny, iż dla niosących trumnę, trzeba było z największym wysiłkiem ramion torować drogę do grobu. Grób leży po prawej ręce, koło ś. p. Szajnochy. Po odśpiewaniu rytualnych hymnów, wystąpił na podwyższenie ks. dr. Krechowiecki i przemową swoją, pełną zapału patrjotycznego, sprawił prawdziwą niespodziankę tysięcznej rzeszy. Nie pragniemy na razie nic więcej, jak by te piękne słowa ks. Kr. któremi miłość ojczyzny, opartą na wierze głębokiej, jakiej przykład wzniosły sam Chrystus dał światu, postawił p o n a d w s z y s t k o, by te słowa jego powtarzamy, najrychlej w żywe zmieniły się ciało, a nie pozostały j e n o o k a z e m pięknej swady ks. kaznodziei kapitulnego. Następnie wystąpił p. Tad. Romanowicz, i jasnemi słowy skreślił żywot cały i czyny, pełne poświęceń a gorącej miłości ojczyzny ś. p. Seweryna, zakończył zaś pięknem wezwaniem, byśmy nad rozwartym grobem Wieszcza poprzysięgli sobie, że wiecznie i wytrwale iść będziemy wzniosłemi torami, które nam wytknął swem życiem wielki poeta i do skonu wierny syn ojczyzny. Ostatni przemówił p. Kornel Ujejski. Grzmiące słowa jego, pełne wieszczego natchnienia, padały jak kaskada w serca słuchaczy. „Domowi jego — kończył wskazując na trumnę i grób — pokój, a nam — bój!“ — Zanim spuszczono trumnę do grobu, doborowy chór techników odśpiewał piękną kompozycję Stattlera „Salve Regina“. Równocześnie składano wieńce na trumnę; obecne zaś panie przyniosły taką ilość równianek, że prawie cały dół wypełnił się w okamgnieniu kwiatami. Na cmentarzu rozdano na pamiątkę kilka tysięcy kartek z portretem ś. p. Seweryna i datą śmierci i pogrzebu.

Pod wrażeniem głębokiego wzruszenia i przyjęcia wróciły tłumy do miasta już po szóstej z wieczora.

Literatura i sztuka.

— Pan Aleksander Wejnert, niezmordowany badacz starożytności krajowych, odkrył szczęśliwie *Herbarz szlachty polskiej*, uzupełniający Niesieckiego, a spisany własnoręcznie przez biskupa Krasickiego. Całość składała się prawdopodobnie z 8miu tomów. Pięć odnalazł p. Wejnert a za domniemywaną resztą czyni skrzętne zabiegi. Sprawozdanie z tego cennego odkrycia ogłosić ma niebawem *Biblioteka Warszawska*.

— Węgierski pisarz Jokai ukończył czteroaktową tragedję „Milton“, która wkrótce będzie w Peszcie przedstawioną.

— W Paryżu zacznie wychodzić ultra-radykalny dziennik, p. t. „Les droits de l' homme“ (Prawa człowieka.)

— Miasto Edinburg stawia Livingstonowi wspaniały posąg. Statua wyobraża znakomitego podróżnika z Biblją w jednej ręce, a z siekierą w drugiej.

Szkolnictwo.

— Austrjacki minister oświaty Stremayer poczynił kroki, ażeby sprowadzić na posadę profesora do Wiednia słynnego lingwistę, twórcę porównawczego językoznawstwa Maksa Müllera. Rokowania te jednak nie odniosły skutku. M. Müller pozostaje i nadal profesorem w Uniwersytecie Oxfordskim.

Zjawisko natury.

— W północnej części Norwegji zaobserwowano nader ciekawe zjawisko natury. Po silnym wietrze i deszczu zobaczono na śniegu chrząszcze żyjące na cal długie, których aż po ten dzień nigdy tam nie widziano. Szczególny ten fenomen pojawił się na bardzo znacznej przestrzeni, i do dziś leżą one zmarznięte na śniegu. Chrząszcze są bądź popielate, bądź pstre, a podobne do *galernea viburni*.

Wojskowość.

— Austjacki minister wojny rozporządził, aby odtąd każdy ochotnik, który po roku nie zda egzaminu oficerskiego, służył jeszcze za karę rok, a nawet dwa lata.

— W Woolwich robiono próby z żelaznemi lawetami, które mają być zaprowadzone przy artylerji polowej. Jakkolwiek do lawet strzelano z dział dosyć dużych, i kilka kul trafiło w cel, mimo to żadna nie została znacznie uszkodzoną i wszystkie mogły być natychmiast użyte. Jeżeli zostaną zaprowadzone lawety żelazne, to odtąd nie będzie mowy o demontowaniu dział.

Nekrologja.

† Teodor Torosiewicz, zasłużony chemik i mąż wielkiej prawości, zmarł we Lwowie dnia 2go marca 1876.

ROZMAITOŚCI.

— Że każdemu właściwą jest jakaś woń osobliwa, wypływająca z ustroju jego organizmu — pisze pewien badacz niemiecki — dowodzą między innemi psy, które jedynie za pomocą węchu rozróżniają między tysiącami ślady swoich panów. Bywali nawet ludzie odszczególniający się podobnie wrażliwym zmysłem powonienia. Podług świadectw wielu lekarzy, żyła w Paryżu kobieta z tak delikatnym noskiem, że u każdego zbliżającego się do niej człowieka, czuła pewną woń indywidualną. Jak o jednostkach, tak o całych plemionach, ludach twierdzić można śmiało, że mają one swoją własną, niby czysto narodową woń. Dowodem tego a priori byłby fakt niezbity, że przyroda zwykła każdy z tworów swoich piętnować tak odrębnie, a tak charakterystycznie zarazem. Otóż jedną z takich cech wybitnych jest u pojedynczych ludów ich narodowość, przebijająca się tysiącem drobnych na pozór, nie mniej jednak ważnych, bo całość odrębną składających przymiotów; jednym zaś z tych przymiotów, czy wad, (na jedno wychodzi w tym razie) jest znowu ta woń specyficzna u każdego plemienia. Nie możemy, my ludzie, dowieść namacalnie jej istnienia; to składają nam codzień odnośne dowody zwierzęta, posiadające zmysł powonienia bez porównania więcej od naszego rozwinięty i czuły. N. p. tygrysy indyjskie, którym widocznie krajowcy lepiej od Europejczyków smakują, tropią chciwie ślady tamtych, a z lekceważeniem i obojętnością pomijają ostatnich. Hiszpanie w Ameryce mieli psy tresowane, które z łatwością odszukiwały zbiegłych niewolników czarnych. Co więcej, w czasach wojny eksterminacyjnej z nieprzyjaznemi najeździcom plemionami indyjskiemi, towarzyszyły takie psy swoim panom, prowadząc ich do ukrytych siedzib nieprzyjaciela, którego też po znanej woni śladów dobrze rozróżnić umiały od sprzymierzonych „czerwonoskórych.“ W Zjednoczonych Stanach północnej Ameryki każdy „biały“ pozna łacno w drugim choćby najmniejszą przymieszkę krwi murzyńskiej, a tak dobrze po lekkiem zafarbowaniu paznogci u rąk, jak więcej jeszcze po owej woni właściwej negrom. Do świeżo przybyłego Europejczyka mówi zawsze rodowity Amerykanin: „Zrazu nie pojmiesz pan może przyczyny tego wstrętu naszego do tej rasy, ale gdy zabawisz tu dłużej, przekonasz się sam, jaka nieznośna dla europejskiego nosa atmosfera otacza tych czarnych.“ Podobnie jak murzyni, mają i żydzi jakąś woń odrębną, naplemienną, której zda się prawie nigdy nie tracą. W Polsce, gdzie z całej Europy największa liczba żydów przemieszkuje, mają bardzo wrażliwe powonienie na tę woń izraelską. „Tak, tak — mówił raz do mnie tamtejszy obywatel, szlachcic. — Ten pański Mayer jest bardzo grzeczny i miły człowiek, ale... ale — dodał krzywiąc twarz z niesmakiem — wybacz pan otwartości, coś mi bardzo żydkiem trąci!“ Z tego, cośmy tu przytoczyli, można śmiało wyciągnąć wniosek, że takie wonie plemienne nietylko faktycznie istnieją. ale nawet przyczyniają się w pewnej bodaj mierze, do odrazy i nieprzyjaznych sobie usposobień dwóch sąsiadujących plemion. Że bardzo mało dotychczas zwracano uwagi w badaniach etnograficznych na ten objaw charakterystyczny, nie dziwno wcale. Woni przecie, choćby najwybitniejszej, nikt nie potrafi zklasyfikować dokładnie, bo nie jest namacalną, jak np. rysy twarzy, które wyrysować można najwierniej ze wzorów naturalnych, albo narodowe melodje, które zchwycić się dadzą uchem i wyrazić nutami. Co dotyczy źródła tych różnych, różnym plemionom właściwych woni, szukać go należy wyłącznie u nich w domu. Nie mało w tym kierunku przyczynają się: warunki topograficzne, ustrój organizmu mieszkańców i słabości, którym mniej lub więcej podlegają. Dalej znaczą wiele warunki życia domowego. ubior, zatrudnienie, najwięcej zaś gatunek żywności. Przecie w każdym kraju napotkać można jakąś woń silną, bądź z potraw korzeniem zaprawnych, a najwięcej używanych, bądź inną, że nazwiemy domową, która tak dalece staje się dominującą, ż prawie kraj, naród cały czuć nią już z daleka. Przytoczymy tu kilka tego rodzaju przykładów. Biedni Łotysi nad Bałtykiem zamieszkują kraj zimny, i przez cały prawie rok nie zrzucają z siebie futer baranich. Całe dni brodzą po moczarach, a wieczorem za powrotem do domu rozwieszają do ognia przemokłe suknie i trzewiki. Przedmioty ogrzane oczywiście parują, a te wyziewy pomięszane z dymem łuczywa smolnego, którem świecą w każdej chacie, tworzą odor tak nieprzyjemny i rażący, że kto poznał go raz w życiu, gdyby z zawiązanemi oczyma całą przebywał Europę, ręczę, że odgadnie natychmiast gdzie jest, skoro stanie tylko w pierwszej stacji łotyckiej. Wiadoma rzecz w całym świecie, że każdego Rossjanina czuć dziegciem i juchtem, tak jak znowu Grenlandczyka i całą Grenlandję czuć tranem wielorybim, który tam piją, w potrawach jedzą, w kagankach palą, skóry zaś i futra nim smarują. W południowej Francji i Hiszpanji są prowincje, gdzie w każdym domu, od każdego wieśniaka, nawet ich sukien czuć cebulę i czosnyk, rosnący obficie na polach i używany w potrawach. W Saksonji czuć na każdym kroku cienutką kawę mleczną (Blümchencaffee,) którą tam wieśniacy cały dzień gotują i piją. Nawet apteki nie na całym świecie równemi zalecają się odorami. Podczas gdy w Europie czuć dość przyjemne ingredjencje lecznicze, w amerykańskiej aptece nie przyzwyczajonemu przebyć kwadrans nie podobna z powodu ostrych wyziewów z leków najczęściej tam używanych.

— Nadworny angielski mineralog, profesor Tennaut, sporządził szczegółowy opis obecnej korony angielskiej. Korona ta zrobiona była w r. 1838 przez jubilerów Rudella i Brigdé, w części z dawnych klejnotów korony a w części z nowo nabytych drogich kamieni. Korona waży 1,239 gramów i składa się z karmazynowej czapki, obłożonej gronostajami i podszytej jedwabiem. Nad futerkiem gronostajowem, mieści się wieniec ze 129 pereł, nad niemi idzie złota obręcz i znów drugi wieniec cokolwiek mniejszy złożony ze 112 pereł i zamknięty wielkim szafirem. Szafir ten był nabyty przez Jerzego IV. Wyżej otacza koronę wieniec z siedmiu szafirów i ośmiu szmaragdów, z których każdy jest otoczony gwiazdą djamentową, tak że na siedm szafirów wypada 14 brylantów a na ośm szmaragdów 128 brylantów. Pomiędzy szafirami i szmaragdami ułożone są nadto drobne listki z djamentów, których na to wyszło 160 sztuk. Górną część korony zdobi ośm szafirów i tyleż djamentów większych, oraz festony ze 148 mniejszych brylancików. Z przodu na złotej obręczy umieszczony jest historyczny rubin, który don Pedro Kastylijski w r. 1367 miał darować Czarnemu Księciu. Henryk V. miał ten rubin na hełmie w dniu bitwy pod Azincourt. Rubin otacza krzyż maltański z 75 brylantów, oprócz niego po bokach i z tyłu są jeszcze trzy podobne krzyże z samych brylantów, po 124 do 132 w każdym. Oprócz tego koronę zdobią lilje francuskie i liście dębowe — zrobione z samych djamentów i wielkich rubinów. Na szczycie korony znajduje się jabłko suto przyozdobione brylantami z krzyżem na wierzchu. Cała korona zawiera w sobie: jeden bardzo wielki rubin i jeden szafir, 16 szafirów średnich, 11 szmeragdów, cztery średnie rubiny, 1,363 djamentów białych, 1,273 różowych, 147 innych gatunków, 4 duże perły i 732 mniejszych.

— Zabawny wypadek opowiadają dzienniki hamburskie. Pogromca zwierząt w Hamburgu Hagenbeck, wskutek zamówienia z Paryża wysłał tam wspaniałego lwa koleją żelazną. Podróż ta widocznie zaszkodziła królowi pustyni, ponieważ już mocno chore przybyło zwierzę do Paryża, gdzie w ciągu kilku dni zakończyło życie. Odbiorca paryski doniósł o tym przykrym wypadku Hagenbeckowi telegraficznie, zapytując zarazem, co ma zrobić z nieżywym lwem. Pogromca hamburski rozgniewany, że poniósł tak dotkliwą stratę, lew bowiem miał kosztować 3000 talarów, odpowiedział na to zapytanie również telegrafem: „Możesz pan ugotować sobie lwa na kwaśno.“ Filut Paryżanin tedy, otrzymawszy taką odpowiedź, kazał z wspaniałego zwierzęcia ściągnąć skórę, zgotował mięso w occie i w beczce odesłał je do Hamburga. Nie wiadomo jak się ta sprawa skończy, ponieważ Hagenbeck nie tylko, że nie przyjął przesyłki lecz wytoczył proces Paryżaninowi o zwrot kosztów, twierdzi bowiem, że lew był zdrowy zupełnie gdy go wysyłał z Hamburga.

— W pewnem miasteczku niemieckiem posiadającem dla rozrywki mieszkańców, teatr amatorski, miano po dłuższej przerwie letniej rozpocząć szereg przedstawień zwykłych, i w tym celu łokciowe afisze zapowiedziały Holbeina „Gang nach dem Eisenhammer.“ Jak się spodziewano, amfiteatr cały zapełnił się widzami, wyglądającymi z niecierpliwością podniesienia zasłony. Dzwonek odezwał się, już mają podnieść kurtynę, gdy w tem reżyser dowiaduje się ku wielkiemu zakłopotaniu, że sufler nie zajął dotychczas swojego miejsca. Szczęściem za kilka chwil przybiegł ten zpocony i ledwie dyszący; usprawiedliwiwszy swoje spóźnienie, otworzył klapę i znikł w podziemiu. A tempo podnosi się kurtyna, i na scenę wystąpił hrabia Savern by wygłosić swój monolog; chwila głębokiej ciszy — zanim jednak amator artysta zdołał usta otworzyć, dobywa się z podziemia krzyk i wrzask piekielny, poczem budka suflera wylatuje w powietrze i pada z hukiem na wystraszonych widzów pierwszych rzędów krzeseł. Bolesny a zarazem nader komiczny widok przedstawił się teraz oczom publiczności. Nieszczęsny sufler, z obliczem podrapanem do krwi, borykał się z olbrzymim kotem, rzucającym się na niego z tygrysią zaciekłością. Cóż więc było powodem tej niespodzianej sceny tragiczno-komicznej? Oto wspomniana kotka wybrała była sobie miękie krzesło w budce suflera za gniazdo, i złożyła na nim swoje nowonarodzone młode. Biedny podpowiadacz, nie przeczuwając niczego, w pospiechu usiadł całym ciężarem ciała na starą karmiącą właśnie potomstwo swoje, i oto zkąd fatalne skutki, łatwo teraz zrozumiałe. Dopiero miecz dzielnego Saverna i przybyłej w pomoc „szlachty,“ oswobodził podziemnego ich pomocnika od ostrych pazurów rozwścieczonej matki kociego rodzaju.

—„Podróż na około ziemi w 80 dniach“ którą i my oglądaliśmy we Lwowie do znudzenia, sprawdziła się w rzeczywistości, jeno że w 88 dniach i z tą różnicą, że tę przejażdżkę żmudną na około globu „list“ odbył. nie zaś Anglik w towarzystwie drugiego jakiego Passe par tout'a. Pewien jegomość w Nowym Jorku, wysłał go do swego znajomego w Yokohama, więc na połowę całej drogi, (via Anglja i Brindisi,) z prośbą, by natychmiast po odebraniu takowego wysłał go w nowej kopercie napowrót do Nowego Jorku, via San Francisco — co znaczyło drugą połowę drogi naokoło ziemi. List ten wyszedł z Nowego Jorku 13go maja, 24go maja był już w Londynie. Z Londynu przez Aleksandrję, Suez, Czerwone morze, Aden, Cejlon, Penang i Singa pore, doszedł 26 Czerwca do Honkong. Z Honkong przybył do Yokohama 12go lipca. Z Yokohamy wyekspedjowany do San Francisco, znalazł się tam 1go Sierpnia, a 8 tego miesiąca powrócił do Nowego Jorku. W ten sposób przebywał on przeciętnie w jednym dniu 250 mil angielskich.

— O czem kobieta zamężna często myśli? dzieli pewien angielski spostrzegacz na 12 punktów, mianowicie: 1) że gdy liczyła 16 lat była śliczną panienką; 2) że miała bardzo wiele świetnych partyj do zamążpójścia, a przynajmniej, byłaby je miała niechybnie, gdyby chciała; 3) że wszystkie jej przyjaciółki są co najmniej o 5 lat starsze, aniżeli powiadają same; 4) że ma bardzo dobre serce; 5) że małżonek jej byłby o wiele bogatszym, czy w mienie, czy w znaczenie, gdyby zawsze słuchał był jej porady; 6) że ci mężczyźni zbyt wiele wychwalają piękność tej lub owej młodziutkiej kobiety lub panny; 7) że matka jej męża jest najnieznośniejszą osobą pod słońcem; 8) że jej dzieci bez porównania są ładniejsze, mądrzejsze itd. od dzieci pani A. B. C. etc. 9) że radaby bardzo sprawdzić, ażali pan mąż rzeczywiście udaje się tam, gdzie zapowiada, wychodząc z domu; 10) że najstarszy jej syn jak dwie krople wody podobny do ojca; 11) że nie masz na świecie dość stosownej partji ożenienia dla niego. 12) że szczerze, z całego serca żałuje wszystkie stare panny.— I cóż, nasze piękne czytelniczki, powiedział Anglik prawdę?

Treść Nr. 10.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).